



*Marion Lennox*



*Szczęśliwy przypadek*

## **ROZDZIAŁ PIERWSZY**

To on. Ten sam, którego widzi w snach. Może trochę bardziej opalony niż dawniej, ale ma takie same zmarszczki w kącikach oczu, kiedy się uśmiecha.

Usilnie starała się powrócić do rzeczywistości.

Te same szlachetne rysy, szare oczy oraz ten sam piękny uśmiech, który tak ją urzekł, gdy ujrzała go po raz pierwszy, i te same wargi, które tak słodko ją całowały, zanim... Nie, to nie może być on.

W głowie jej szumiało.

W tych oczach powinien być smutek. Zamiast niego wyczytała w nich zatroskanie. On nie był do tego zdolny.

To ona się troszczyła. Kochała go bezgranicznie. I przegrała. Lecz on tu jest. Trzyma ją za ręce, jakby chciał dodać jej sił.

- Corey - szepnęła, lecz jego rysy ani drgnęły. Za to oczy nadal były pełne niepokoju.

- Może pani oddychać? - zapytał. - Coś panią boli przy oddychaniu?

To nie jest Corey. Ten mężczyzna ma inny głos. Niższy. Bardziej dojrzały?

Dlaczego wyobraźnia płata jej tak okrutne figle?

Poczuła się zagubiona. Chciała coś powiedzieć, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu.

- Zostaw mnie - wykrztusiła. - Corey, nic mi nie jest. Mnie nigdy nic nie jest.

Dotarł do niej drugi męski głos:

- Doktorze, niech pan tu przyjdzie!

Już po wszystkim. Sen odpływa, jak zawsze, przeszło jej przez myśl. Corey, jej Corey, przyłożył jej dłoń do czoła, by odgarnąć włosy z twarzy.

- Proszę leżeć spokojnie - powiedział. - Zaraz nadejdzie pomoc.

Oczywiście.

Takiej katastrofy obawia się każdy lekarz.

Doktor Devlin O'Halloran podniósł się z klęczek po zbadaniu kobiety i rozejrzał się bezradnie. Przydałoby się tu kilkunastu lekarzy, a nie jeden! Ta kobieta jest oszołomiona, ale może oddychać. Trzeba iść do pozostałych.

Park Narodowy Karington w Queenslandzie, gdzie dżungla schodzi do samego oceanu, należy do najpiękniejszych zakątków na całym globie. Kochają go tubylcy, kochają turyści. Lecz pod koniec pory deszczowej kręte drogi wśród stromych skał i gór bywają wyjątkowo zdradliwe.

Tym razem wyjeżdżająca zza zakrętu ciężarówka z drewnem weszła w kolizję ze szkolnym autobusem, który wiozł dwadzieścioro dzieci, i małym samochodem osobowym, który prowadziła kobieta w ciąży.

Ciężarówka zapewne chciała wyminąć samochód, ale wpadła w poślizg, roztrzaskała przód auta i uderzyła w skalną ścianę, a wówczas siła odśrodkowa wyrzuciła z ciężarówki pnie potężnych eukaliptusów na autobus, spychając go z szosy. Dzięki Bogu autobus, który się przewrócił, zawisł nad przepaścią. W każdej chwili jednak mógł się w nią osunąć.

Zapanował totalny chaos.

Jak on sobie poradzi?

Odwiedzał jednego z pacjentów, gdy Jake, kierowca autobusu, wezwał go do wypadku. W autobusie tym zamontowany był nadajnik mający bezpośrednią łączność z komórką Deva, ponieważ jeden z uczniów cierpiał na zaawansowaną astmę. Ledwie Jake zdążył połączyć się z Devem, nadajnik zamilkł. Przeklinając w duchu Jake'a za to, że nie przekazał mu szczegółów, Dev natychmiast ruszył trasą szkolnego autobusu.

I znalazł go tutaj. Kierowca ciężarówki siedział otępiały na poboczu i z niedowierzaniem wpatrywał się w staranowany autobus. Dzieci gramoliły się na zewnątrz przez wybitą tylną szybę, zdane same na siebie, bo Jake z kolei stał jak osłupiały.

Autobus lada chwila mógł runąć w przepaść.

- Jake, pomóż im! - warknął Dev. - Trzeba je natychmiast stamtąd wyprowadzić.

Sam ruszył dzieciom, głównie pierwszacom, z pomocą, przy okazji pobieżnie je oglądając. Były potłuczone, pokrwawione, zapłakane, ale w tej chwili nie miał czasu, by je pocieszać. Chwytał każde w ramiona i stawiał na poboczu. Ktoś je podsadzał wewnątrz. Nauczyciel?

Dlaczego Jake się nie ruszy?! Przecież ten autobus zaraz spadnie! Zdaje się, że kierowca jest w głębszym szoku, niż by się wydawało na pierwszy rzut oka.

- Chodź, potrafisz - usłyszał. Tak, to nauczyciel. Dev rozpoznał głos Colina Jeffriesa. - To już chyba wszyscy... Oprócz tych, którzy... są uwięzieni, ale nie mogę... Jodie na pewno wymaga pomocy...

- W porządku, teraz ty wychodź!

Po chwili ujrzał Colina, mężczyznę po pięćdziesiątce, który z trudem gramolił się przez wybitą szybę. Miał głęboką ranę na policzku i rozdarty garnitur poplamiony krwią. Jedną ręką przytrzymywał kolejne dziecko.

- Jodie wymaga natychmiastowej pomocy - wysapał, układając dziewczynkę u stóp Deva, po czym sam gwałtownie usiadł na ziemi.

Ile krwi! Zdecydowanie za dużo. Nic dziwnego, że Colin ledwie trzyma się na nogach, ale Jodie krwawi jeszcze bardziej.

- Mocno Uciśnij czoło - polecił mu, sam jednocześnie uciskając ramię dziewczynki. Za wszelką cenę musi powstrzymać to krwawienie.

Lecz inni też go potrzebują.

- Jake! - zawołał, lecz kierowca ani drgnął.

Dev klęczał otoczony wianuszkami przestraszonych dziecięcych twarzy. Znał te dzieci, ponieważ były jego pacjentami przez minione trzy lata, odkąd podjął pracę w miasteczku.

- Niech najstarsi, Katy i Marty, odprowadzą wszystkich jak najdalej od autobusu. Zaraz zawiadomimy waszych rodziców, ale najpierw ty, Marty, pobiegnij do mojego auta i przynieś torbę. Auto jest otwarte.

Na nic więcej nie miał czasu, ponieważ musiał zająć się Jodie. Jej ramieniem, z którego buchała jasna tętnicza krew. Rozerwana tętnica.

Jake nadal bezradnie wpatrywał się w autobus.

W takiej sytuacji nie ma miejsca na bezradność.

- Jake!!! Weź mój telefon! - Gestem głowy wskazał swój pasek od spodni, lecz Jake tylko tępo na niego popatrzył. - Jake, weź moją komórkę! - Kierowca autobusu ruszył powoli jak w transie. - Dzwon do szpitala! Ma tu przybyć cały personel. Tak im powiedz.

I pomóż wydostać się reszcie dzieci. Musisz je stamtąd wyprowadzić!

Umilkł. Jodie. Jodie gaśnie na jego oczach. Straci ją, jeśli krwawienie nie ustanie w ciągu dziesięciu minut. Gdzie jest Marty z torbą?

Chłopiec już biegł, po drodze otwierając torbę. Dzielne dziecko! - pomyślał Dev.

- Dzięki. Teraz pomóż Katy.

Nie było czasu na więcej pochwał. Dev pochylił się nad dziewczynką, by walczyć o jej życie.

Emma powoli uniosła głowę. Co się stało? Gdzie jestem? Rozejrzała się, siadając. Siłą woli przebijała się przez otaczającą ją mgłę, by przypomnieć sobie przebieg wydarzeń.

Zderzenie. Na pewno doszło do zderzenia.

Jednak w jej głowie panowała pustka. Owszem, przypominała sobie, że leżała bez ruchu, próbując pozbierać myśli, ostrożnie Wczuwając się w poszczególne części ciała i nie dowierzając, że jeszcze żyje.

Tak było, zanim usłyszała ten głos i ujrzała tę twarz. Wówczas nabrała przekonania, że znalazła się w innym wymiarze. Nie tutaj. Nie teraz. Ponieważ była to twarz jej męża. Lecz Corey nie żyje.

Nie, on nie umarł. On jest tutaj.

Może to ona nie żyje? Nie, nie. To Corey umarł, a ona żyje. Słyszała, że ktoś wydaje polecenia. Mężczyzna, którego wzięła za Coreya?

Dziecięcy płacz. To ją zmobilizowało. Otaczająca ją mgła powoli się rozpraszała.

Tak, to był wypadek. Nieopodal płacze przestraszone dziecko. Czy to znaczy, że powinna nim się zająć?

Na próbę poruszyła głową. W porządku, może nie całkowicie w porządku, ale może być.

Ale jest tu nie tylko ona. Przyłożyła dłonie do brzucha. Moje dziecko też musi być całe i zdrowe, pomyślała z niepokojem.

W odpowiedzi poczuła mocne kopnięcie.

- No, mały, to nie moja wina - szepnęła, klękając. Czuła, że kolana ma jak z waty.

Czepiając się samochodu, a raczej jego wraku, stanęła na nogi. Łaska boska, że udało jej się ujść z życiem.

Żyje. Co dalej?

Tamten głos kazał jej się nie ruszać.

Wykluczone. Tam płacze dziecko. Przypomniały jej się słowa pewnego wykładowcy, który pouczał studentów medycyny, że dziecko, które płacze wniebogłosy, zazwyczaj może poczekać. Najpierw należy zająć się tym maluchem, który płacze cichutko.

To, co do niej docierało, nie było histerycznym wrzaskiem.

Gdzie jest ten człowiek, którego wzięła za Coreya? Co tu się stało? Z rosącym przerażeniem rozglądała się po miejscu wypadku. Porozrzucane

drewniane bale. Jakiś facet - kierowca ciężarówki? - wymiotuje na poboczu, drugi, bardzo blady, histerycznie stuka w komórkę, a trzeci trzyma się za głowę. Spomiędzy jego palców spływa krew.

Dużo dzieci.

Pochylona postać nad jednym z nich, które leży na drodze. To chyba dziewczynka, bo ma różowe rajstopy. Obok niej otwarta lekarska torba.

Dostrzegła twarz mężczyzny, który zakładał dziewczynce klamry. Jaki podobny do Coreya, pomyślała.

Jeśli to Corey, to musi być lekarzem, co by wyjaśniało...

To nie jest Corey. Ten nieznajomy walczy o życie dziecka.

Lecz dzieci jest tu więcej. Jej wzrok wędrował od jednego dziecka do drugiego, oceniając ich stan.

Wydostały się z tego autobusu. Są poobijane, pokrwawione i w szoku. Szła powoli, szacując, komu należy udzielić pomocy w pierwszej kolejności.

Cholera, dlaczego ma nogi jak z waty?

Muszą jej słuchać. Nie mają wyboru.

Najciężej poszkodowany jest chyba ten starszawy facet w poszarpanym garniturze. Wygląda marnie.

Może nim powinna się zająć? Bo wszystkie dzieci się ruszają. Żadne nie straciło przytomności. Owszem, są pokrwawione, ale nie ma bezpośredniego zagrożenia życia.

Zajmij się tym w garniturze albo pomóż lekarzowi. I jeszcze raz dokonaj oceny sytuacji.

Popatrzyła na autobus. Leży na samym skraju przepaści, przyparty drewnianymi balami. Lekarz zapewne wchodził do środka, ale musiał zająć się dziewczynką w różowych rajstopach. Czy już nikogo nie ma w autobusie? On w każdej chwili może spaść z szosy. Jak to sprawdzić?

Podeszła do człowieka z komórką, który usiłował uzyskać połączenie.

- W autobusie nikogo nie ma? - zapytała.

Popatrzył na nią, jakby mówiła po chińsku, po czym bez słowa znowu zaczął wystukiwać numery na klawiaturze.

Za dużo tych cyfr. Zadanie go przerosło.

Zdaje się, że doznał głębokiego wstrząsu.

Dokąd on dzwoni? Po służby ratownicze? Ktoś już na pewno tam zadzwonił. To jest najważniejsze.

Bez słowa wyjaśnienia wyjęła mu komórkę z ręki. To nie pora na uprzejmości, bo autobus w każdej chwili może runąć.

- Czy wszyscy wyszli z autobusu?! - wrzasnęła.

Mężczyzna otworzył usta, ale nie udzielił jej odpowiedzi. Wobec czego Emma zniżyła głos, by zabrzmiał groźnie.

- Mam pana uderzyć?! Niech pan odpowiada! Autobus jest pusty?

Podziałało.

- Nie - wyjąkał. - Nie mogę... Nie wiem. - Wyciągnął rękę po telefon, lecz Emma cofnęła się o krok. Wystukała trzycyfrowy numer i odczekała, aż odezwie się dyspozytorka.

- Służby ratownicze. Kogo należy przysłać?

- Wszystkich - warknęła Emma. - Bale drewna spadły na szkolny autobus kilka mil na północ od Karington. Autobus wisi nad przepaścią. Proszę przysłać tu wszystkie służby, łącznie z wyciągarką. Karetki, lekarzy, policję i ciężki sprzęt. W autobusie nadal mogą być dzieci. Niech pani przyśle tu wojsko, byle szybko.

Nareszcie do czegoś się przydała, co bardzo ją zdziwiło. Ale tu jest jeszcze więcej do zrobienia. Oddała komórkę i ruszyła w stronę autobusu. Po drodze musiała minąć lekarza pochylonego nad dziewczynką w różowych rajstopach.

Przydałby mu się ktoś do pomocy... ale nie ona.

Autobus może spać.



Nie zatrzymała się przy nieznanym, bo jeśli autobus spadnie, a są w nim dzieci...

Dotarła do mężczyzny w garniturze. Może to nauczyciel? Pochyliła się, by obejrzeć jego ranę, po czym szybko zdjęła żakiet, by zrobić z niego okazały tampon.

- Był pan w autobusie? - Przyklękła, dociskając tampon do jego czoła. - Niech się pan położy. - Pchnęła go lekko. - Wszyscy wysiedli?

Mężczyzna jęknął.

- Dwoje zostało. Tak mi się wydaje, ale nie mogłem się do nich dostać... - zająknął się.

No tak, duży ubytek krwi i wstrząs. Zaraz straci przytomność.

- Proszę się nie ruszać - upomniała go, uciskając ranę coraz mocniej. Przez cały czas rozglądała się, kto mógłby ją w tym zastąpić. Obaj kierowcy absolutnie do tego się nie nadają, a reszta to dzieci. Będzie musiał sam to zrobić. Ujęła jego rękę. - Niech pan to trzyma. I mocno naciska.

Gdy się odwróciła, natknęła się na dziewczynkę. Chudą, z warkoczykami, w okularach z bardzo grubymi szklami. Miała może dwanaście lat.

- Co mamy robić? - zapytało dziecko zasadniczym tonem, a Emma o mało jej nie ucałowała.

Obaj kierowcy są do niczego, nauczyciel ledwie przytomny, więc wykorzysta tę małą.

- Jak masz na imię?

- Katy.

- Katy, jesteś fantastyczna. Właśnie szukałam lidera. I ty nim zostaniesz.

Powiedz starszym dzieciom, żeby zaopiekowały się maluchami. Ci, którzy źle się czują, niech się położą, ale niech każdego z nich ktoś pilnuje. Czy mogę skierować do ciebie tych, których znajdę w autobusie?

- Oczywiście. Ja i Marty się nimi zaopiekujemy - oświadczyła Katy. - Czy jest pani potrzebny ktoś, kto przytrzyma ten opatrunek na głowie pana Jeffriesa?

Gdyby miała pod ręką medal, natychmiast by go wręczyła dzielnej Katy.

- Tak.

- Zawołam Chrissy. Ona mówi, że zostanie doktorem i że nie robi jej się słabo na widok krwi.

- Czy wszyscy wydostali się z autobusu?

- Dwoje zostało. Kyle i Suzy. Właśnie po nich przyszedłam. - Dziewczynka niepewnie zerknęła na przewrócony autobus. - Myśli pani, że tam można wejść?

- Ja po nich pójde. Ty masz inne zadanie. Ktoś musi to zrobić.

Kyle i Suzy.

Dziesięć metrów niżej jest morze. Dlaczego autobus jeszcze się tam nie zsunął? Co go zatrzymuje? Nic.

Spojrzała za siebie w nadziei, że ktoś jej pomoże. Lekarz jest zajęty. Reszta dorosłych? Wykluczone.

- Nie zsuń się, błagam - szepnęła pod adresem autobusu. - Nie wąż się. Nie po to tu przyjechałam, żeby zginąć.

Lepiej się nad tym nie zastanawiać.

Chwyła się ramy okna i podciągnęła do środka. Rozejrzała się, by ocenić sytuację. Potłuczone szkło, porzucane tornistry, książki, zeszyty, powyginane fotele, zgniecione żelastwo.

To cud, że mimo wszystko tylu osobom udało się przeżyć tę kraksę.

Szkielet autobusu praktycznie nie uszkodzony, więc można się spodziewać przede wszystkim zranień odłamkami szkła i potłuczeń. Co mogło spowodować obrażenia?

Dostrzegła dwa bale, które wbiły się do wewnątrz.

Może nikogo nie trafiły. A jeśli...?

- Jest tu kto?! - zawołała, starając się stłumić strach.

Cisza. Może Katy się pomyliła? Oby. Rozpaczliwie usiłowała nie myśleć o tym, że autobus wisi nad przepaścią, ale nie mogła przestać.

Mimo to ruszyła ostrożnie przejściem między fotelami. Gdzie oni są? Katy wygląda na bardzo spostrzegawcze dziecko.

W tej samej chwili znalazła pierwszą ofiarę. To chłopiec. Bal, który wbił się w autobus, praktycznie kompletnie go zmiął. Gdy autobus się przewrócił, bal zmienił położenie, a Kyle pozostał na miejscu.

Zginał natychmiast, pomyślała. Miał siedem, osiem lat... Mały rudzielec... Rozplakała się.

- Kyle... - szepnęła. Sięgnęła do jego ręki, by sprawdzić puls, ale niczego nie wyczuła. Mogła tylko zrobić nad nim znak krzyża.

Lekarze powinni być oswojeni ze śmiercią, ale nigdy z nią się nie oswajają.

Trzeba szukać drugiego dziecka. Otarłszy łzy, zaglądała pod wszystkie fotele. Gdzie ona jest?

- Suzy! - zawołała.

Gdy dotarła na przód autobusu, dostrzegła dziewczynkę uwięzioną między dwoma fotelami zgniecionymi przez bal, który zabił Kyle'a. Ściśniętą tak mocno, że ledwie oddychała. To dlatego nie odpowiadała na jej wołanie. Emma przykucnęła jak najbliżej. Dziecko patrzyło przytomnie, ale jego oddech był urywany i chrapliwy. Wyraźnie traciło świadomość. Poranione ciało wkrótce zacznie puchnąć, co dodatkowo utrudni Suzy oddychanie.

- Jestem przy tobie - rzekła Emma półgłosem, chwytając dziewczynkę za rękę.

- Suzy, jestem przy tobie. Jestem lekarzem. Pomogę ci oddychać.

Dziewczynka rzuciła jej rozpaczliwe spojrzenie, po czym jakby czekała tylko na nią, straciła przytomność.

Nie! Utrata świadomości to zgon, przemknęło Emmie przez myśl. Co robić?

Ten facet na zewnątrz ma lekarską torbę. Powinien mieć skalpel, rurkę do tracheotomii...

Nie. Przywoływanie go, wyjaśnianie to tylko strata cennego czasu. To dziecko umiera. To jest kwestia sekund.

Piórnik! Otworzyła go. Temperówka. Długopis.

Szlochając, sięgnęła po nie. Odkręciła śrubkę przytrzymującą ostrze temperówki. Ma ostrze, niewielkie ale ostre. Boże! Teraz rurka. Rozkręciła długopis. Chwilę później wykonała zabieg, jaki jej się nie śnił w najgorszych nawet sennych koszmarach. Czy to zadziała?

Dzięki Bogu zadziało.

Kilkanaście sekund później ustąpiła bladość skóry, ustało rzeźnienie, a dziewczynka zaczęła oddychać miarowo. Emma odprężyła się na moment, ale w tej samej chwili autobus lekko się zakołysał. Koniec relaksu.

Wielka strata, przemknęło Emmie przez głowę. Szkoda takiego mistrzowskiego zabiegu.

Lecz tę myśl wyparła inna. Udało się! Suzy przeżyje. Teraz autobus nie ma prawa spaść do morza.

- Nie ruszajmy się - szepnęła sama do siebie. Nie miała innego wyjścia, ponieważ musiała trzymać rurkę od długopisu w odpowiedniej pozycji. Jeśli nią poruszy, Suzy przestanie oddychać. Po prostu.

Dziewczynka otworzyła oczy.

- Suzy, nie ruszaj się. Włożyłam ci do gardła rurkę, żebyś mogła oddychać, ale nie wolno ci się poruszyć. Ani trochę. - Suzy szeroko otworzyła oczy. - Ja też się nie ruszam. Będziemy tu siedziały razem, aż nas ktoś stąd wyniesie. Jak myślisz, kto przyjedzie pierwszy? Ja bym chciała, żeby to była straż pożarna. Lubię dźwięk ich syreny i strasznie podobają mi się te lśniące hełmy...

Suzy patrzyła na nią jak na wariatkę. Może naprawdę zwariowała?

- Co my możemy tu robić, zanim oni przyjadą? Wiesz co, Suzy? Myślę, że powinnam ci się przedstawić. Nazywam się Emma O'Halloran i jestem lekarzem. Przyjechałam tu z Anglii, żeby odwiedzić rodzinę mojego męża, ale oni nawet nie

wiedzą, że ja istnieję. Czy myślisz, że się ucieszą, kiedy im powiem, że będą mieli wnuka?

W końcu nadjechała pomoc. Daphne, dyspozytorka z Karington, wezwała, kogo się dało. Nie zawiadomiła tylko wojska, mimo że Emma ją o to poprosiła, ale po prostu w pobliżu nie było żadnej jednostki.

Gdy w oddali rozległ się odgłos syren, Dev już prawie zatamował krwotok Jodie. Teraz zajął się kroplówką, ponieważ jej serce mogło nie znieść tak istotnej utraty krwi. Już wcześniej okrył dziewczynkę marynarką.

Podał jej plazmę. Chwała Bogu, że zawsze ma przy sobie zestaw do kroplówek. Lecz jego zapasy są ograniczone. Z ulgą zatem powitał służby ratownicze.

Najpierw zajechała miejscowa karetka, z której wyskoczyli Helen i Don.

- Podajcie jej więcej plazmy - zaordynował Dev bez wstępnych wyjaśnień. - I ogrzejcie ją. Macie ciepłe koce?

Helen przytaknęła.

- Tak jest, ale widzę, że najważniejsze już zostało zrobione - zauważyła, przyklękając ze stetoskopem w dłoni. Devlin nie miał czasu osłuchać Jodie. - Wszystko w porządku. Don, zajmij się nią.

Kochana Helen, pomyślał Devlin. Ta kobieta po pięćdziesiątce była z zawodu farmerem, ale gdy zmarł jej mąż, a dzieci wyjechały do miasta, przekwalifikowała się i została ratownikiem. Dzięki temu karetka z Karington miała wyjątkową obsadę.

- Teraz autobus... - Dev się zawahał, bo w tej samej chwili autobus niebezpiecznie drgnął, i gestem powstrzymał Helen. - Wydaje mi się, że wszyscy stamtąd wyszli.

- Nie wszyscy - odezwała się Katy, która klęczała na poboczu przy nauczycielu, uciskając jego ranę tamponem z zakietu Emmy. W jej oczach Dev dostrzegł łzy. - Tam jest ta pani w ciąży. Powiedziałam jej, że tam zostali Kyle i Suzy, a ona tam się wdrapała. I nie wychodzi. Powiedziałam jej, że Chrissy mnie

zastąpi przy panu Jeffriesie, ale Chrissy zrobiło się niedobrze, więc siedzę przy nim. Co ta pani tam robi?

- Pani w ciąży? - zdumiał się Devlin.

Ile było tu ciężarnych? Powiódł wzrokiem na pobocze, gdzie zostawił tę kobietę. Jej samochód stał tam gdzie poprzednio, ale ona gdzieś zniknęła.

Gdy od niej odchodził, była półprzytomna. Jakim cudem znalazła się w autobusie? Była mocno potłuczona. Przypomniawszy sobie, że miała ciemne włosy i ogromne piwne oczy. Była w zaawansowanej ciąży.

Zdecydowanie wymagała pomocy medycznej.

- Ona jest w autobusie?

- Tak - odrzekła Katy. - Chciałam sama pójść do Kyle'a i Suzy, ale ona kazała mi zająć się panem Jeffriesem i młodszymi dziećmi. I tam poszła. No i ciągle jej nie ma. Czy myśli pan, że ten autobus spadnie? - zapytała dziewczynka ze łzami w oczach.

## **ROZDZIAŁ DRUGI**

- Jest tu ktoś?

Te słowa zabrzmiały jak najśłodsza muzyka. Emma słyszała syreny, odgłosy hamujących aut, rozmowy, płacz dzieci, a teraz nareszcie ktoś woła do niej przez tylne okno. To ten mężczyzna podobny do Coreya.

To nie jest Corey. Jak mogła sobie coś takiego ubzdurać?! Najważniejsze, że idzie jej z pomocą.

- Już są - poinformowała dziewczynkę.

Od dłuższego czasu nieruchomo trzymała rurkę od długopisu, świadoma, że jest to sprawa życia lub śmierci. Teraz nareszcie zaczynała mieć nadzieję, że życie zwycięży.

- Jesteśmy tutaj! - zawołała, starając się sprawić wrażenie osoby, która panuje nad sytuacją. - Suzy i ja. Czekamy, aż ktoś nas uwolni. Liczyliśmy na strażaków.

- Czy Kyle jest z wami?

Jej pewność siebie nagle prysła. No cóż, prawda bywa brutalna.

- Kyle nie żyje. Zginął na miejscu.

Zapadła martwa cisza, ponieważ ci na zewnątrz musieli mieć czas, by przyjąć tę informację do wiadomości.

- Co z Suzy?

- Wyjdzie z tego, mimo że miałyśmy pewne kłopoty. Zrobiłam tracheotomię - mówiła Emma rzeczowym tonem. - Użyłam rurki od długopisu. Muszę ją trzymać, więc nie możemy się ruszyć.

Przedłużająca się cisza.

- Tracheotomię?

- Tak. Poważny uraz twarzy. Na razie sytuacja jest opanowana, ale zabierzcie nas stąd jak najprędzej.

- Z kim ja rozmawiam? - dopytywał się mężczyzna.

- Z Emmą. - O co mu chodzi? Poprosi mnie o pokazanie dyplomu?

- Pani jest tą ciężarną z rozbitej kii?

- Tak, to ja - rzuciła beztroskim tonem. - Jest nas tu troje: ja, mój brzuch oraz Suzy. Byłoby nam bardzo miło, gdybyście nas stąd wydostali.

- Postaramy się.

Usłyszała niewyraźne odgłosy dyskusji, po czym odezwał się do niej inny głos.

- Tu Greg Nunn ze straży pożarnej - przedstawił się. - Nie możemy wejść po was. Najpierw musimy zabezpieczyć autobus. Jest mało stabilny.

Mało stabilny, dobre sobie.

- Zauważyliśmy - odparła. - Co zamierzacie?

- Nie może pani wynieść małej? Chyba żartuje?!

- Nie.

- Nie może, bo musi trzymać rurkę. - To ten lekarz?

- Kim pan jest? - Nagle wydało jej się to nad wyraz istotne. Ma torbę lekarską, więc musi być lekarzem.

- Devlin O'Halloran. Jestem lekarzem.

Zamarła. Zakręciło jej się w głowie tak mocno, że aż się przestraszyła, że zemdleje. Devlin O'Halloran. Ponury żart. Corey. Devlin. To oczywiste. To nie żarty.

- Nie mogę tam wejść - rzekł z wysiłkiem. - Lepiej autobusu dodatkowo nie obciążać. Już go zabezpieczamy.

- To dobrze. - Lecz jej głos musiał się zmienić, ponieważ usłyszała:

- Na pewno dobrze się pani czuje? Cholera, wchodzę!

- Jeśli pan wejdzie, doktorze, to spadniecie - tłumaczył mu ktoś na zewnątrz. - Niechże się pan zastanowi! Spieszmy się jak diabli.

Nie myśl o O'Halloranie. Nie rozglądaj się po autobusie. Myśl pozytywnie, ponieważ Suzy musi wierzyć, że ten koszmar dobrze się skończy.

- Co się tam dzieje?! - zawołała.

- Mocujemy liny do autobusu, żeby go ustabilizować - wyjaśnił strażak.

- Doskonale.

- Ale zabrakło nam lin. Chłopcy pojechali po dłuższe. Zamierzamy przywiązać stalowe liny do drzew, ale drzewa są za daleko.

- Na razie przyczepiliśmy was do liny z wozu strażackiego - dodał ktoś inny. - To trochę pomoże.

- Ale to za mało, żeby doktor tam wszedł. Przysięgam, że bardzo się spieszmy.

- To spieszcie się jeszcze bardziej - odrzekła bez przekonania. - Bo zaczyna nam brakować tematów do rozmowy.



Trwało to pół godziny. Przez ten czas szyja Suzy tak nabrzmiała, że Emmie coraz trudniej było trzymać rurkę we właściwym położeniu. Nie spuszczała wzroku z twarzy dziewczynki. Jeszcze parę minut, a ta cienka rurka będzie niewystarczająca. Pospieszcie się.

W końcu przywieziono liny. Rozległy się krzyki i polecenia. Na szosie rozpoczęła się gorączkowa krzątanina.

- Idziemy do was! - usłyszała męski głos.

Widziała ich kątem oka, ponieważ nie śmiała przerwać kontaktu wzrokowego z Suzy. Było ich dwoje: ten lekarz o imieniu Devlin, i kobieta w średnim wieku w kamizelce ratownika.

- Suzy, już po nas idą - szepnęła. - Doktor O'Halloran i jakaś pani. - Wysoki, postawny mężczyzna z nieco przydługimi kruczoczarnymi włosami. Przydałby mu się fryzjer. Taki podobny...

Nie. Do nikogo nie jest podobny.

- To chyba wasz miejscowy lekarz - poinformowała dziewczynkę. - Poznajesz go?

Lecz Suzy milczała. Miała lekko szkliste oczy. No tak, wstrząs i utrata krwi zbierają swoje żniwo.

- Macie płyny i morfinę? - zapytała.

- Mamy.

Devlin na moment przystanął przy Kyle'u. Emma ani razu nie spojrzała w tamtą stronę, ale wiedziała, co zobaczył.

- Mamy wszystko, co potrzeba. - Miał nieznacznie zmieniony głos, po czym zwrócił się do kobiety: - Tutaj już nie jesteśmy potrzebni.

Helen została przy chłopcu.

- Każę przynieść nosze, chyba że jeszcze ci się przydam - zaproponowała.

- Zajmij się nim.

Gdy dotarł do Emmy i Suzy, stanął nad nimi jak wryty. Z bezgranicznym zdumieniem wpatrywał się w efekty prowizorycznej tracheotomii w wykonaniu Emmy.

- Proszę o nic nie pytać - powiedziała pospiesznie. - Potrzebna mi morfina i płyny. Zaraz.

- Ale...

Nie interesowały jej jego zastrzeżenia.

- Ta rurka jeszcze trochę wytrzyma. Mamy mało czasu - zauważyła półgłosem.

Otworzył torbę i błyskawicznie zabrał się do pracy.

- Helen, minie parę minut, zanim będzie można ją stąd zabrać. Tymczasem wynieście Kyle'a - polecił swojej towarzyszce. - Ja... my tu sobie poradzimy.

Było to miejsce bardzo niewygodne do pracy, pośród połamanych foteli, zasypane odłamkami szkła. Suzy leżała na bocznej ścianie autobusu zaklinowana między dwoma fotelami. Od blisko godziny Emma podtrzymywała jej głowę.

- Nie mogę się ruszyć - rzekła Emma. Całkiem niepotrzebnie, bo Dev już zorientował się w sytuacji.

- Suzy, zaraz podam ci coś przeciwbólowego. - Nie był pewny, czy dziewczynka go słyszy, ale mimo to do niej przemawiał. - Potem przyczepię ci do ramienia rurkę, żeby uzupełnić ubytek krwi, a kiedy przestanie cię boleć, wyniesiemy cię z autobusu. Mama i tata już tu są.

To zrozumiała, że wszyscy rodzice przybyli na miejsce wypadku. Większość na pewno już zabrała swoje zapłakane pociechy do domu. Oprócz rodziców Kyle'a.

Nie myśl o tym.

Czuła, że zaraz się załamie. Robiło jej się niedobrze. Do tej pory trzymała się dzięki adrenalinie, ale teraz przyszedł ten lekarz, więc...

- Emmo, niech się pani nie poddaje. - Jego głos przywołał ją do porządku. Gdy skoncentrowała się na zadaniu, mdłości minęły. - Suzy bardzo pani potrzebuje.

- Wcale nie miałam zamiaru się poddawać - odparła z godnością. - Tylko mięczaki się poddają.

- Ale pani nie jest mięczakiem.

Chyba żartuje. To nawet miłe, pomyślała. Tym bardziej że jest podobny do Coreya... Nie, nie tędy droga. On wstrzykuje małej morfinę.

- Nosze tu się nie zmieszczą - zauważył, czekając, aż morfina zadziała. - Ta rurka nie może nawet drgnąć. Przyklejenie jej plastrem nic nie da.

- Zdecydowanie. - Wykluczone też było przeprowadzenie w tych warunkach prawdziwej tracheotomii. Ryzykowne było samo wyjęcie rurki od długopisu.

Będzie ją trzymała, aż dotrą do normalnej sali operacyjnej, gdzie będzie można dziewczynce podać tlen.

- Wezmę ją na ręce - zdecydował. - Będzie pani trzymać rurkę, posuwając się razem ze mną? - Przytaknęła, a on spojrzał na nią z niepokojem. - Pani też jest ofiarą wypadku. Doznała pani lekkiego wstrząśnienia mózgu. Nie powinna pani tu być.

- Ale jestem. Nie traćmy czasu.

- Mogę poprosić Helen, żeby panią zastąpiła.

- Nie może pan.

- Dlaczego?

- Bo sporo czasu zajęło mi wyczucie właściwego nachylenia rurki. Minimalny ruch w którąkolwiek stronę sprawia, że rurka blokuje tchawicę. Ale już wiem, jak należy ją trzymać. Tylko mnie można zaufać.

No cóż, ona zapewne ma rację. Za ich plecami rozległ się odgłos noszy przekładanych przez wybitą szybę.

- Pomóc wam? - zapytała Helen, przekazawszy nosze koledze.

- Sami musimy się z tym uporać - odparł Devlin. - Toruj nam drogę. I wszyscy trzymajcie za nas kciuki.

Podniósł Suzy ostrożnie, jakby była z porcelany, i zaczął powoli się posuwać, dostosowując krok tak, by Emma przez cały czas mogła trzymać rurkę w tej samej

pozycji. Wyglądała koszmarnie, tak źle, jakby zaraz miała zemdleć. Mimo to jej ręka ani drgnęła.

Czy wytrzyma? Może nie powinni ruszać się z miejsca? Może należało najpierw ustabilizować oddychanie?

Nie w tych warunkach. Podjęli się bardzo ryzykownego zdania, ale nie mieli innego wyjścia. Devlin zdał sobie sprawę, że jest zmuszony zaufać nieznajomej. Tej dziewczynie, która sama powinna być pacjentką.

Na pewno jest lekarzem. A zabieg, który przeprowadziła, graniczy z cudem. Skąd ona jest? Bo nie stąd. Turystki rzadko podróżują samotnie, zwłaszcza turystki w zaawansowanej ciąży. Czas na zadawanie pytań będzie później, teraz trzeba wynieść Suzy.

Spojrzał na Emmę. Była blada jak ściana. Powinna mieć na względzie dobro dziecka, pomyślał. Kiedy ją znalazł, była półprzytomna. Powinna leżeć w szpitalu.

Gdyby znalazła się w szpitalu, Suzy już by nie żyła.

Jest mu potrzebna. Jest potrzebna Suzy.

Posuwali się przez autobus w zółwim tempie. Gdy w końcu znaleźli się na zewnątrz, Emma ze zdziwieniem spostrzegła, że na miejscu katastrofy już nikogo nie ma.

Został tylko Kyle. Leżał na noszach przykryty kocem, a obok noszy siedział strażak. Po prostu siedział i czuwał. Po raz kolejny Emma poczuła łaskotanie pod powiekami.

- Jeszcze nie teraz - usłyszała.

Skąd ten nieznajomy wie, o czym pomyślała?

- Nic mi nie jest. - Uśmiechnęła się z przymusem.

- Wiem. Pani jest wspaniała.

Ułożywszy Suzy na noszach, przy których czekała Helen, zaproponował Emmie, że ją zastąpi.

- Ja już mam wycucie - oznajmiła. - I trzymam rurkę jak należy. Nie wypuszczę jej, dopóki nie znajdziemy się w sali operacyjnej z porządnym sprzętem. Oraz chirurgiem.

- Czyli ze mną.

On jest chirurgiem. Poczła taką ulgę, że po raz kolejny zakreśliło się jej w głowie.

- Hura! Wobec tego na co czekamy? Jedźmy do szpitala i dajmy panu skalpel do ręki oraz coś, co zastąpi ten cholerny długopis. Ale nie puszcę go, chyba że użyje pan skalpela.

Dwadzieścia minut później uwolniła się od rurki od długopisu, która wylądowała w koszu.

Dev O'Halloran okazał się wspaniałym chirurgiem. Umieszczenie rurki do tracheotomii w ranie tak opuchniętej, tak poszarpanej, w tchawicy dwa razy węższej niż tchawica dorosłego człowieka... Emma nie wyobrażała sobie, by potrafiła wykonać taki zabieg. Ale jeszcze niedawno przez myśl jej nie przeszło, że w tym samym celu posłuży się temperówką i długopisem.

- Podajcie damie krzesło - mruknął Dev pod adresem pielęgniarek.

Emma usiadła i obserwowała, jak Devlin przygotowuje Suzy do podróży do Brisbane, gdzie miał się nią zająć specjalista rekonstrukcji twarzy.

Muszę wyjść, pomyślała, czując, jak wzbierają w niej mdłości. Przecież jest przyzwyczajona do zapachu sal operacyjnych. Nie powinno jej to...

- Przepraszam. - Wstała pospiesznie.

- David, idź z nią - polecił pielęgniarzowi Dev.

- Nic mi nie jest - szepnęła.

Nieprawda.

Dziesięć minut później wyszła z toalety, czując się jak nowo narodzona. Zrobiło jej się niedobrze? To nic nadzwyczajnego, pomyślała. Studentom się to przydarza regularnie, a doświadczony personel po prostu się do tego nie przyznaje.

Trick polega na tym, by wytrzymać do końca zabiegu, kiedy już nie jest się potrzebnym.

Zimna woda, którą wielokrotnie obmywała twarz, sprawiła, że zaczynała powoli wracać na ziemię.

Coś ty zrobiła?! Naraziłaś na ryzyko swoje dziecko! Tam, na szosie, zupełnie o nim zapomniała. To prawda, uratowała Suzy, ale drogo może ją to kosztować. Chyba wcale nie czuła się jak nowo narodzona. Postanowiła jeszcze raz skorzystać z dobrodziejstw zimnej wody.

Wyszędłszy z toalety, dostrzegła w poczekalni dwie osoby. Farmerzy? Gdy podnieśli na nią wzrok, w ich oczach zauważyła strach.

O matko, to zapewne rodzice Suzy. Widzieli, jak wchodziła z ich córeczką do sali operacyjnej. I jak stamtąd wybiegła do toalety. Połączyli te zdarzenia...

- Wszystko jest w porządku - zapewniła ich. - Suzy już oddycha bez przeszkód, a doktor O'Halloran kończy zakładać opatrunek. Przewieziemy ją do Brisbane, do chirurga plastycznego, ale i ten zabieg nie będzie trudny. Myślę, że córeczka wróci do państwa z dwiema bliznami. Innych obrażeń nie ma, przysięgam.

Rysy ich twarzy złagodniały. Odetchnęli z ulgą.

- Wybiegła pani tak...

- Jestem w ciąży - siliła się na beztroski ton. - Przepraszam, jeśli państwa przestraszyłam, ale ciężarne ciągle wymiotują.

Rozpromienili się nieco, a Emma nagle postanowiła postąpić nieprofesjonalnie, zapomnieć o przepisowym braku zaangażowania. Pochyliła się, by objąć matkę dziewczynki.

- Tak, wiem - szepnęła. - To było straszne, ale Suzy już nic nie grozi.

- Spotkaliśmy rodziców Kyle'a - odezwał się mężczyzna. - Tylko on zginął.

Mamy szczęście, ale oni...

- Pielęgniarki nie pozwoliły im go zobaczyć. - Pociągając nosem, matka Suzy oswobodziła się z jej objęć.

- Ale pani... pani jest lekarzem.
- Jestem.
- Wiemy od Helen, tej z karetki, że to pani uratowała naszą Suzy.
- Po prostu znalazłam się na właściwym miejscu we właściwym czasie. Lecz ta kobieta myślała o innych.
- Margaret, przełożona pielęgniarek, to straszna służbistka - zaczęła. -

Powiedziała rodzicom Kyle'a, że zobaczą go dopiero, jak zezwoli na to doktor O'Halloran. Czekają, aż on skończy, i odchodzą od zmysłów.

- Kiwnęła głową w stronę sali operacyjnej. - Gdyby to Suzy umarła, wiem, że chciałabym ją zobaczyć natychmiast. Może ma pani pomysł, co zrobić, żeby mogli pójść do niego? Zaraz.

## **ROZDZIAŁ TRZECI**

Emma marzyła, by się położyć, lecz przez okno, na parkingu, zobaczyła rodzinę Kyle'a. Rodzice i dzieci zbili się w ciasną grupkę, z której emanowała rozpacz. Ten widok sprawił, że zapomniała o regulaminowym braku zaangażowania i o własnej potrzebie odpoczynku.

Dev pozostanie w sali operacyjnej jeszcze co najmniej pół godziny, a Jodie i pan Jeffries już są w drodze do Brisbane. Jednak pozostało jeszcze wielu innych pacjentów. Rannych, ze złamaniami, w szoku... Dev będzie zajęty przez kilka godzin.

Może jednak uda się jej coś zrobić dla krewnych Kyle'a? Tym bardziej że chciała zrobić coś dla niego samego. Przypomniały się jej pełne zatroskania oczy Deva. Jest taki podobny do Coreya. Mimo że inny. Delikatny, ale silny. Jak on przemawiał do Suzy...

Nie, tak nie wolno jej o nim myśleć. Te emocje muszą poczekać. Najpierw należy odszukać tę przełożoną.

Nie było to trudne. Zastała ją przy stanowisku pielęgniarek. Tonem nie znoszącym sprzeciwu rozmawiała przez telefon.

- Muszę mieć plazmę. Nie, nie mogę czekać do jutra. Nie mamy żadnego zapasu. No cóż, jeśli chcecie zaryzykować, że w nocy będziemy mieli wypadek i nie będziemy mieli co przetoczyć... Czy bierze pani tę odpowiedzialność na siebie? Nie? Niech pani to jakoś załatwi, ale oczekuję, że przed zachodem dostarczycie nam plazmę. - Odłożyła słuchawkę.

Oto kobieta niezastąpiona w sytuacjach kryzysowych, pomyślała Emma. Może służbistka, ale niezawodna. W akcji nie do pokonania. Zatem trzeba ją wciągnąć do akcji.

- Dzień dobry - powiedziała Emma, na co Margaret wyszła zza biurka, by się z nią przywitać.

- O Boże. - Zabrzmiało to trochę protekcyjnie.

- Aż trudno uwierzyć, czego pani dokonała. Wiem o wszystkim od Helen. Odważyła się pani wejść do tego autobusu... Suzy miała szczęście.

- Ale Kyle go nie miał.

- Tak, wiem. Straszna tragedia.

- Podobno nie chce pani dopuścić do niego rodziców, dopóki doktor O'Halloran nie wyrazi zgody.

- Nie, ja nie...

- Domyślam się, że czeka pani na pozwolenie. Wezmę to na siebie.

- Pani? - Pielęgniarka cofnęła się o krok.

- Jestem lekarzem.

- Tak, ale...

- Wprawdzie potłuczonym lekarzem w ciąży, ale nadal lekarzem - mówiła Emma stanowczym tonem.



- Mam prawo wypisać akt zgonu oraz zezwolić rodzinie, by obejrzała zwłoki. Jego rodzice muszą to zrobić jak najszybciej, a ja nie widzę przeciwwskazań. Gdzie on jest?

Margaret ściągnęła brwi.

- W kostnicy - odparła.

- Czy pokój dla rodzin jest wolny?

- Tak, ale...

- Przewieźmy go tam. - Nie spuszczała z tonu. - Nie jest tak potwornie zmasakrowany, żeby rodzina miała doznać wstrząsu. Oni i tak chcą go zobaczyć. Wiemy o tym obydwie. Nie zaakceptują jego śmierci, dopóki go nie zobaczą. - Wzięła głęboki oddech. - Musimy im pomóc. Im prędzej, tym lepiej. Gdzie jest kostnica? Przygotuję chłopca, a pani niech się zajmie pokojem dla rodzin.

- Nie mogą obejrzeć go w kostnicy?

- Czy gdyby to był pani synek, chciałaby pani żegnać się z nim w kostnicy? - zapytała cicho Emma. - Uważam, że stać nas na coś więcej.

Drewniany pień zmiażdżył chłopcu wszystkie narządy wewnętrzne, powodując natychmiastowy zgon, lecz spoglądając na buzię Kyle'a, miało się wrażenie, że po prostu śpi. Tłumiąc rozpacz, Emma czułymi ruchami obmyła mu twarz, ciasno omotała jego ciało bandażem, aby ukryć obrażenia, a na koniec owinęła go kocem, aby w razie potrzeby można było go podnieść i przytulić, po czym kazała przewieźć go do pokoju dla rodzin.

Czuła, że Margaret ma wielką ochotę zaprotestować, ale nie dała jej szansy. Kierowała się podszeptem serca. Gdyby to był jej ukochany synek...

Potem sama przeniosła go z noszy na łóżko, ułożyła głowę na poduszkach, by wyglądał jak pogrążony we śnie.

W końcu odsunęła się od łóżka i pokiwała głową. Zrobiła dla niego wszystko, co mogła. Nie może przywrócić mu życia, ale przynajmniej wygląda teraz zupełnie zwyczajnie.

Wyszła na parking.

- Zapraszam państwa do syna - powiedziała. - Umyliśmy go i położyli na łóżku. Czeka, żeby się z państwem się pożegnać.

- A co... z dziećmi? - szepnęła kobieta, spoglądając na braci i siostry Kyle'a.

- Decyzja, czy one też mają pożegnać braciszka, należy do państwa. Ale gdyby to były moje dzieci...

Kwadrans później Dev wyszedł z sali operacyjnej.

Najgorsze już minęło, ale jest jeszcze mnóstwo dzieci z przeróżnymi urazami. Gdyby stan któregoś wymagał Jego uwagi, pielęgniarki by go wezwały.

Muszę odszukać tę kobietę, pomyślał. Wyglądała bardzo źle, wybiegając z sali operacyjnej.

Jednak priorytetem są rodzice Kyle'a.

Jak ona ma na imię? Emma? Nie mógł przestać o niej myśleć. Bohaterka. Zasłużyła na medal. Zdobędzie go dla niej, choćby miał stanąć na głowie. Taka drobna, chuda i w zaawansowanej ciąży, a te jej wielkie piwne oczy niemal nie mieszczą się w zmizerniałej twarzy, lecz to, czego dokonała...

Odszukają. Dlaczego nikogo nie ma przy stanowisku pielęgniarek? Gdzie jest Emma?

Za którychś drzwi dobiegł go szloch. Rodzina Kyle'a? W głębi korytarza ukazała się zakłopotana Margaret.

- Gdzie są rodzice Kyle'a?

- W sali numer pięć.

Ściągnął brwi. Widział przecież, że salowi wieźli go do kostnicy.

- Dlaczego?

- Emma... ta lekarka, kazała mi go tam przenieść, żeby rodzina mogła się z nim pożegnać. Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe. Mam pójść z tobą?

- Nie trzeba. Czy wiesz, gdzie ona jest?

- Z nimi.

Co ona tam robi? Powinna leżeć.

- Miałeś ciężki dzień. - Margaret położyła mu dłoń na ramieniu.

- Tak. Ale inni mieli jeszcze gorszy.

- Mam nadzieję, że dobrze zrobiłam, pozwalając Emmie przenieść go z kostnicy.

- Oczywiście. - Przygarnął ją do siebie, wyczuwając, że ona tego oczekuje.

Uśmiechnęła się, odsunęła od niego i pośpiesznie zaczęła wygładzać uniform.

- Nie tutaj.

- Racja.

Wystarczy. Teraz rodzina Kyle'a.

- Uważam, że to bardzo dobra decyzja - powiedział.

- Rozumiem, że z nią rozmawiałaś. Czy wiesz o niej coś więcej niż tylko to, że ma na imię Emma?

- Jest apodyktyczna. - Uśmiechnęła się półgębkiem.

- Prawie tak apodyktyczna jak ja. Umyła Kyle'a i ułożyła go tak, że wygląda...  
zwyczajnie. Bardzo dobrze jej to wyszło.

Bardzo dobrze jej to wyszło. Sformułowanie niezbyt fortunne. Kyle był najmłodszy z czwórki rodzeństwa. Straszny był z niego łobuz. Dev coraz to zakładał mu szwy lub gips. W głowie mu się nie mieściło, że Kyle nie żyje.

Jest w sali numer pięć. „Bardzo dobrze jej to wyszło”.

Ruszył korytarzem. Tuż za zakrętem przystanął. Drzwi od pokoju były lekko uchylone, więc zobaczył, jak matka Kyle'a tuli syna i łka z twarzą ukrytą w rudej czuprynie. Ojciec bezradnie przyglądał się tej scenie, którą uzupełniało rodzeństwo Kyle'a zebrane wokół łóżka. Rodzina pogrążona w żałobie. Ostatnie pożegnanie.

A na ławce pod drzwiami Emma. Siedzi skulona i cicho płacze, zasłaniając twarz dłońmi.

Zdaje się, że osiągnęła kres wytrzymałości.

Kiedy po raz ostatni kogoś tulił w ramionach? Nigdy? Ale na pewno całował kobiety. Jego związek z Margaret był bardzo udany. Całowanie jej sprawiało mu dużą satysfakcję. Ale tulić ją w ramionach...?

Nigdy.

Niespodziewanie dla samego siebie poczuł taką potrzebę. Odjął dłonie od twarzy Emmy, pomógł jej wstać, otoczył ramionami i zaczął ją kołysać jak małe dziecko.

A ona płakała i płakała.

Z pokoju dostrzegł ich ojciec Kyle'a.

- Niech pan, doktorze, zaopiekuje się nią - powiedział cicho. - Nie wiem, jak jej dziękować. Niech jej pan podziękuje w naszym imieniu. - Zamknął drzwi, a Dev został sam na sam z Emmą na szpitalnym korytarzu.

Ona nie myśli przytomnie, przeszło mu przez głowę. I nie wie, co robi. Czuł, że ma coraz bardziej mokrą koszulę, czuł ciepło jej ciała, jej piersi... Czuł...

Nie, nie. To obłąd. Nic nie czuje. Ma do czynienia z pacjentką. Z koleżanką po fachu, która się załamała. Nic poza tym. Pachnie wodą różaną i... olejem silnikowym?

Odurzająca mieszanka. Dlaczego tak na nią reaguje? Jak? Nie potrafił tego określić. Wiedział jedynie, że potrzebuje tego tak samo jak ona.

Emma tymczasem powoli się uspokajała.

- Cicho... - szeptał jak do dziecka, całując jej włosy. - Cicho...

Nie miało to nic wspólnego z profesjonalizmem, ale musiał to zrobić. Obejmował ją jak największy skarb.

To, czego dokonała...

Co teraz? Powinien znowu stać się lekarzem, położyć ją do łóżka, wezwać Margaret, zbadać Emmę.

Przystawszy płakać, Emma zdała sobie sprawę, gdzie się znalazła. Odsunęła się i popatrzyła na niego z lekkim przerażeniem.

- Przepraszam.
- Nie ma za co.
- Ja nie mam w zwyczaju płakać.
- Widzę. To znaczy, że pada deszcz.
- Jeśli mnie pan wypuści...
- Upadnie pani.
- Nie upadnę. - Jej głos stawał się coraz silniejszy.
- Czy mogę panią położyć na łóżku?
- Nie muszę leżeć.

- Musi pani. I dobrze pani o tym wie. Rano dostała pani w głowę, a potem czołgała się pani w autobusie po tłuczonym szkłe. Trzeba panią zbadać. Który to miesiąc?

- Siódmy. Jestem w dobrej formie.

- Nieprawda. Nie dość, że dziecku należy się badanie, to ma pani pełno skaleczeń, które trzeba oczyścić.

- Nie trzeba.

- Dziecko należy zbadać - stwierdził stanowczym tonem. - O tym pani wie doskonale. Jest pani lekarzem.

Temu nie mogła zaprzeczyć.

Uśmiechnął się. Pomimo koszmarnego dnia ta kobieta sprawiała, że miał ochotę się uśmiechać. Powiedziała, że nigdy nie płacze. Mógł w to uwierzyć, bo było w niej coś, co mówiło, że urodziła się, by śmiać się i kochać, że ta Emma, kimkolwiek jest, bierze życie za rogi i czerpie z tego niekłamaną radość.

W jej oczach był śmiech, teraz przygaszony, ale gotowy wybuchnąć w każdej chwili. Ta kobieta jest odważna.

I rozsądna.

- Zgoda, ma pan rację - przyznała niechętnie. - Moje dziecko należy zbadać. Macie tu położnika? Kobietę.

- To jest bardzo mały szpital. Gdzie pani nie spojrzy, jestem tylko ja i ja, i jeszcze raz ja.

- Wobec tego sama się zbadam.

- Nie może pani.

- Niech mi pan da swój stetoskop. Chyba już się pan domyślił, że jestem lekarzem. Sama osłucham dziecko. A jeśli chodzi panu o to, co poniżej... Po moim trupie, doktorze O'Halloran.

- Musi pani...

- Może pan obejrzeć moje zadrapania i guza na głowie.

- Serdeczne dzięki.

- Nie każdy ma zaszczyt oglądać zgięcie mojego lewego łokcia, gdzie mam największe skaleczenie. Proszę mnie położyć. Nie mam w zwyczaju leżeć w objęciach lekarza, kiedy mój lewy łokieć poddawany jest oględzinom.

Ona ma siłę żartować, pomyślał z uznaniem. Skąd w niej tyle odwagi?

- Do usług. - Już miał ją położyć, lecz ona o ułamek sekundy za długo nie odrywała dłoni od jego ramion..

- Mhm...

- Słucham panią.

- Doktorze...

- Tak?

- Dziękuję za to, że mnie pan przytulił - zaczęła nieśmiało. - Taka potrzeba zdarza mi się bardzo rzadko i mam nadzieję, że się nie powtórzy. Mimo to serdecznie panu dziękuję. - Na chwilę opuściła powieki, a gdy je podniosła, w jej oczach zaszła zmiana. Już panuje nad sytuacją? Te oczy się śmieją, ale to chyba jest zasłona dymna. - Wobec tego - zaczęła urzędowym tonem - bierzmy się za te zadrapania. I niech pan zapomni, że się rozkleiłam.

- Tak jest, proszę pani.

Jak tu spokojnie, pomyślała. Była już wykąpana, ubrana w szpitalną koszulę w twarzowym, spranym zielonym kolorze, a Dev i Margaret krzżeli się koło niej.

Teraz wyjmowali z jej ran kawałki szkła.

Chwilowo o niczym nie musiała myśleć. Zdawała sobie sprawę, że to wszystko jeszcze do niej wróci, łącznie ze wszystkimi możliwymi komplikacjami, ale na razie nie miała siły tym się zajmować. Leżała, powoli zapadając w sen.

- Zasnęła. - To Margaret. Dobra z niej pielęgniarka. Sztywna, twarda, na dodatek służbistka.

- Należy się jej. Spotkało ją tu koszmarnie powitanie.

- Po co tutaj przyjechała? - Margaret opatrywała jej kolano, a ona czuła, że się unosi, że mogą z nią robić, co chcą. Jej to nic nie obchodzi.

- Nie mam pojęcia. Wiesz o niej coś więcej?

- Myślałam, że już ją wypytałeś - zaniepokoiła się Margaret. - To ty zdecydowałeś, że należy ją hospitalizować.

- Znalazłem ją na korytarzu i tu ją położyłem. Trudno to nazwać oficjalną decyzją.

- Nawet nie znamy jej nazwiska. - Margaret była wstrząśnięta. - Dev, czy ty wiesz, czym to grozi?!

- Uspokój się, ona nie poda nas do sądu.

- A jeśli zacznie krwawić? Jeśli nam tu umrze?

Słuszna uwaga. Emma lekko się zaniepokoiła, ale tylko lekko. Ktoś podciągał koldrę. Chyba Dev. Jakie on ma ładne dłonie. I jak ładnie pachną.

Nie. Ona nie umrze. Szkoda by było rozstawać się z tą poduszką.

- Musimy to sprawdzić - rzekł z niechęcią w głosie.

- Helen przekazała mi jej torebkę. Ktoś ją znalazł w samochodzie i oddał załodze karetki. Mam zajrzeć?

- Wiemy, że ma na imię Emma i że jest lekarzem.

- Musimy mieć nazwisko. Jak ty to sobie wyobrażasz? Ona tu będzie spała, a ja nawet nie znam jej nazwiska...

Wyrzucą mnie ze szpitala, jeśli nie poznają mojego nazwiska? - przeszło Emmie przez głowę. Nie zrobią tego.

Powinna otworzyć oczy. Ale nie mogła.

- Idę po tę torebkę - oznajmiła Margaret.

Emmo, oprzytomnij i w końcu wypij piwo, którego nawarzyłaś.

- Nie ma potrzeby - odezwała się półprzytomnym głosem. - Nazywam się Emma O'Halloran. Doktor O'Halloran. Tak samo jak Dev, ale inaczej. - Należałoby powiedzieć coś więcej, ale nic mądrego nie przychodziło jej do głowy. - A teraz pozwólcie mi spać. Dobranoc.

Emma spała, lecz Dev musiał czuwać.

Po pierwsze musi zbadać kilkanaścioro pacjentów. Następnego dnia zjawi się ekipa psychoterapeutów, ale na razie dzieci są zdane wyłącznie na jego pomoc. Miał cichą nadzieję, że pewnym talentem w tej materii wykażą się również rodzice. Jednak z jednym dzieckiem musiał skontaktować się osobiście. Z bardzo odważną dziewczynką z warkoczykami. Zadzwoił do Katy.

- Suzy będzie zdrowa - poinformował ją. - Już jest w Brisbane. Razem z Jodie. Jest tam również pan Jeffries. Lekarze powiedzieli mi, że uratowałaś mu życie. Katy, spisałaś się na medal i nigdy o tym nie zapomnimy. - W odpowiedzi usłyszał ciche chlupanie, po czym słuchawkę przejął ojciec dziewczynki.

- Myślę, że sobie z tym poradzi - powiedział. - Mama otuliła ją pledami i posadziła przy piecu.

- Proszę ją ode mnie uściskać. Katy to prawdziwy skarb. - Z uśmiechem odłożył słuchawkę.

To było jego ostatnie pilne zadanie. Minęła już dziesiąta. Przez chwilę się wahał, po czym ruszył przez oddział do pokoju Emmy O'Halloran. Spała jak suseł.



- Obudziła się i zjadła kolację - zameldowała mu Janelle, pielęgniarka na nocnym dyżurze. - I znowu zasnęła. Powiedziała tylko, że jest trochę obolała, ale że głowa już jej nie boli.

To dobrze. To znaczy, że on może się zrelaksować.

Wykluczone. Tyle spraw nie dawało mu spokoju. Po pierwsze, Emma powiedziała, że nazywa się O'Halloran, a gdy się ocknęła na miejscu wypadku, wyszeptała imię Coreya. Połączenie tych dwóch informacji wydało mu się absurdalne.

Po drugie, męczyło go to, co do niej czuł. Albo raczej to, że nie potrafił tego określić. Łkała na jego ramieniu, a on, facet nie znoszący łez, który za wszelką cenę unika emocji, marzył, by nie wypuszczać jej z objęć...

Obłąd. Otrząśnij się. Skup się na faktach.

Jechał do domu, do rezydencji lekarza w Stony Creek, dwie mile od miasteczka. Był to stary dom, pełen wspomnień. Lekarzami byli dziadek i ojciec Deva. Corey i Dev nieustannie się sprzeczali, który z nich tu zamieszka.

Skończyło się na tym, że żaden go nie chciał. Odkąd Corey zachorował, dom stracił duszę, a gdy Corey umarł, wyprowadziła się stąd ich matka. Przeniosła się do miasteczka pod pretekstem, że Dev powinien być niezależny, lecz on wiedział, że prześladowały ją wspomnienia. Śmiech Coreya, jego życie.

Też powinienem się wyprowadzić, pomyślał.

Nie lubił wracać do tego domu. Ale to piękny dom. Dla prawdziwej rodziny. Kiedy ją założysz? Z Margaret?

Nie będzie teraz o tym myślał. Chciał być sam, ale wiedział, że nie jest mu to dane.

Matka czeka na niego. Po śmierci Coreya nie dość, że przeniosła się do miasteczka, to jeszcze zerwała wszystkie kontakty towarzyskie. Była rozpaczliwie samotna. Codziennie przygotowywała dla niego kolację, za co był jej wdzięczny, i zmuszała go do rozmowy, co podobało mu się znacznie mniej.

Nie dzisiaj. Marzył tylko o łóżku.

Mimo to zdołał zebrać się w sobie i opowiedział jej o wszystkim, co się wydarzyło. Tragedia na szosie niewiele matkę poruszyła, co doskonale odzwierciedlało stan jej duszy po śmierci Coreya.

Ale, o dziwo, zaciekawiała ją Emma. Nie wspomniał jej imienia, ale matka kierowała się kobiecą intuicją.

- Czy sądzisz, że to ona miała być moim gościem? - zapytała niemal z lękiem.  
- Tak mi przyszło do głowy. Może to ona? Bo nikt mnie nie odwiedził, a ja z tej okazji zrobiłam lunch. - Uśmiechnęła się blado. - Tego strogonowa, którego przed chwilą zjadłeś.

Pal licha strogonowa!

- O czym ty mówisz? - zainteresował się. - Jaki gość?

- Już ci mówiłam. - Westchnęła. - Ktoś miał mnie odwiedzić. Przed południem.

- Kto miał cię odwiedzić?!

- Znajoma Coreya. - Matka znowu zamknęła się w sobie. Owijała w ściereczkę pustą formę, po czym włożyła ją do koszyka. - Tak się przedstawiła. Wczoraj po południu zadzwoniła do mnie jakaś kobieta z Brisbane z pytaniem, czy może złożyć mi wizytę. A ja powiedziałam, że bardzo proszę. Nie mówiłam jej, że nic mi nie wiadomo o jego znajomych. Powiedziała, że ma na imię Emma i że przyjaźniła się z Coreyem parę lat temu. Ale... czekałam, a ona się nie zjawiła.

- Mamo, ta lekarka, o której ci opowiadałem - mówił bardzo powoli - ma na imię Emma.

Matka podniosła na niego wzrok. Z jej oczu wзираła niema prośba.

- Czy sądzisz...? Czy ona naprawdę przyjaźniła się z Coreyem?

- Zapytam ją.

Corey nie żyje. Po takim ciężkim dniu nie powinien myśleć o bracie, a jednak o nim myślał.

Wpatrywał się w sufit i wspominał młodszego brata. Takiego, jakiego kochał. Emma O'Halloran. Zbieg okoliczności?

Nie. Przypomniawszy sobie, jak rano otworzyła oczy i go zobaczyła. Oraz sposób, w jaki wymawiała imię jego brata.

Nie, to nie jest przypadek.

## ***ROZDZIAŁ CZWARTY***

Gdy się przebudziła, był przy niej. Uśmiechał się.

- Corey...

- Corey to mój brat.

Zamrugnęła powiekami. To nie Corey, lecz Dev.

Siedzi przy jej łóżku, a wpadające przez okno promienie słońca kładą się na jej pościeli.

Rozejrzała się dokoła. Ach tak. Jest w szpitalu. Ma opatrunki na ramieniu. Jest w szpitalnej koszuli.

Dev siedzi przy niej i trzyma ją za nadgarstek. Tak, to Dev. Zdecydowanie nie Corey. On nigdy...

Daj spokój. Popatrzyła na budzik przy łóżku. Siódma. Wyszarpnęła rękę z jego uścisku.

- Gdzie są moje rzeczy? - Nie zabrzmiało to zbyt uprzejmie, ale nic innego nie przyszło jej do głowy. Musi stąd się wydostać. Jak najszybciej.

- W szpitalnej pralni.

- A walizka?

- Zniszczona. - Nie odrywał wzroku od jej twarzy.

- Madge, która prowadzi lawetę, powiedziała, że pani garderoba była nie do odzyskania, bo podczas kolizji walizka wypadła na szosę. - Uśmiechnął się z przekąsem.

- A potem przejechała po niej któraś z ekip ratowniczych. Ale Madge mówi, żeby pani się nie martwiła. Ona cztery razy była w ciąży i wie, w czym ciężarnej najwygodniej. Zaofiarowała się coś kupić, jak tylko otworzą sklepy.

- Kiedy otwierają sklepy? - Ktoś rozjechał jej walizkę? Dlaczego jakaś Madge ma za nią robić zakupy? Trudno, nieważne.

Dev zerknął na zegarek.

- Mniej więcej za godzinę.

- Czy przekaże pan Madge, że jestem jej dozgonnie wdzięczna, ale muszę się ubrać natychmiast? Jest tu wypożyczalnia samochodów?

- Nie ma. - Uśmiechnął się. Tak ciepło jak... nie Corey. Kameleon: w jednej chwili Corey, w drugiej... Dev. - Dokąd tak pani spieszo?

- Na samolot.

- Do Europy?

- Tak.

- Jest pani Angielką?

- Tak.

- Powinienem był się tego domyślić - rzekł w zadumie. - Skoro kochała pani Coreya...

Cisza.

Po co tu przyjechałaś?! Jak wrócisz do Brisbane, żeby zdążyć na samolot? To był głupi pomysł. Bardzo głupi.

Zwlekała z tą podróżą do ostatniej chwili, aż dłużej nie sposób było jej odkładać. Uznała w końcu, że bez dziecka łatwiej będzie jej wszystko wytłumaczyć. Ale teraz... teraz cały ten pomysł wydał się jej po prostu głupi.

A jeśli nie zdąży na samolot? Musi.

- Mój lot jest o szesnastej. Dzisiaj - oznajmiła. - Muszę zdążyć. Muszę wynająć samochód.

Uniósł jej dłoń i spokojnie liczył puls.

- Dzisiaj pani nie poleci.

- Muszę. - Szarpnęła rękę. Nie podobało się jej, że Dev ją trzyma. A może podobało? Sprawiał, że czuła...

Nie wiedziała, co czuje, ale jego dotyk na pewno jej nie pomagał.

- Nic mi nie jest - mruknęła.

- Czy pani wie, że w nocy pani krwawiła?

Znieruchomiała.

- Krwawiłam?

- Janelle twierdzi, że była pani zbyt zasnana, żeby to zauważyć. - Widząc przerażenie w jej oczach, pospieszył z wyjaśnieniem. - To nie było groźne krwawienie. Plamienie. Nic w tym dziwnego, zważywszy, co wczoraj przeżyło pani maleństwo. Jeśli będzie pani leżeć, wszystko wróci do normy. Może nawet już wróciło. Od drugiej w nocy nic się nie dzieje, ale musi pani leżeć.

- Nie mogę stracić tego dziecka - wyszeptała, a on się uśmiechnął. Jego uśmiech rozgrzewał w niej wszystkie te miejsca, które rozpaczliwie tego potrzebowały.

I odsuwał od niej strach.

- Dzisiaj przyjeżdża Harriet Straw, nasz położnik. - Powiedział to takim tonem, jakby chodziło o niespodziankę. - Odwiedza nas co tydzień. Powinna ucieścić panią informacja, że Harriet jest kobietą. - Strach w jej spojrzeniu nie zgasł, więc mówił dalej. - Ona jest bardzo dobra. Reprezentuje starą szkołę i jest rzetelna. Mam do niej pełne zaufanie. Jeśli uzna, że należy panią przewieźć do szpitala w Brisbane, nie będę protestował. Podejrzewam jednak, że tylko każe pani leżeć przez kilka dni. I jestem pewien, że na pewno zabroni pani wsiadać do samolotu.

Emma popatrzyła na zegar, po czym przeniosła wzrok na swój brzuch.

Nie mogę się stąd ruszyć, dopóki mnie nie zbada? Dobrze pani wie, że pani nie wolno.

Wiedziała doskonale.

- Naprawdę jest pani lekarzem? - zapytał, lekko skonfundowany jej milczeniem.

- Nieee. Tracheotomii nauczyłam się na wieczorowych kursach dla dorosłych. Podobnie zresztą jak mikrochirurgii.

- Tak mi przykro...

- Mnie również. Jeśli nie załapię się na ten lot... Czy pan wie, który to miesiąc ciąży?

- Powiedziała pani, że siódmy.

- Dokładnie dwadzieścia osiem tygodni. Zastanawiał się.

- Czy to nie jest limit ustanowiony przez linie lotnicze? - zapytał.

- Otóż to. Po dwudziestym siódmym tygodniu nie wpuszczą mnie na pokład żadnych linii. Mam bardzo duży brzuch, więc linie lotnicze zgodziły się zarezerwować dla mnie bilet, dopiero gdy przedstawiłam zaświadczenie od położnika, że nie ma żadnego zagrożenia, że nie urodzę na pokładzie.

- Teraz nikt nie wyda pani takiego zaświadczenia.

- Wiem - jęknęła. - Dzięki panu.

- O nie! - obruszył się. - Ja nie mam z tym nic wspólnego!

- Położył mnie pan do łóżka.

- Padłaby pani, gdybym tego nie zrobił.

Spojrzała na niego spode łba.

- To nie moja wina - zauważył, a ona popatrzyła na niego jeszcze groźniej. -  
Więc niech pani na mnie tak nie patrzy.

Zamyśliła się.

- To pomaga - orzekła. - Tylko to mi zostało.

Dev wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Może pani wynająć statek. - Spoważniał, spiorunowany jej wzrokiem.

Oboje zdawali sobie sprawę, że jej sytuacja wcale nie jest zabawna.

- Przykro mi, ale nie ruszy się pani stąd. Straciła pani trochę krwi. Plamienie ustało, ale jestem pewien, że doktor Straw zaleci pani kilka dni w łóżku. I nie pozwoli latać samolotem. Musi pani przejść do planu awaryjnego. Ma pani znajomych w Australii? Kogoś, u kogo mogłaby pani doczekać do rozwiązania?

- Nie.

- Kiedy przyleciała pani do Australii?

- Przedwczoraj. Zamarł.

- Przedwczoraj?

- Tak.

- To znaczy, że się nie pomyliłem - rzekł powoli. - Jest pani gościem mojej matki, który do niej nie dotarł. Przyjechała pani z powodu Coreya.

- T-tak.

- I nosi pani nazwisko O'Halloran? - Dev wyraźnie się wahał. - To też z powodu Coreya?

Spojrzała mu w oczy. Jak mu to powiedzieć? Jeszcze w Anglii bała się o tym mówić. Próbowwała to napisać, próbowała zmusić się do podniesienia słuchawki telefonu. Jednak za każdym razem brakowało jej słów.

W końcu weszła do agencji turystycznej i zarezerwowała bilet. Uznała, że gdy dotrze na antypody, słowa same ją odnajdą. Obejrzy sobie rodzinę Coreya, pozna ich nastawienie i stopniowo o wszystkim im opowie.

To był bardzo naiwny plan, pomyślała.

- To znaczy, że zamierzała pani skontaktować się z moją matką.

Za oknem ćwierkał jakiś ptak. Wolałaby być na dworze, tym ptakiem. Nie chciała być tutaj, z tym mężczyzną. Nie miała ochoty mówić mu tego, co musiała.

- Byłam żoną Coreya - szepnęła. - Jestem wdową po pana bracie.

Milczeli. Ta cisza trwała tak długo, aż stała się próżnią, która zaczęła wszystko ogarniać.

Corey jest z nimi. Corey i jego piękny uśmiech, zniewalający śmiech. Jego szaleństwo.

- Kiedy Corey się ożenił? - zapytał w końcu Dev.

- Trzy lata temu.

- Trzy lata...?

- Był prawie zdrowy. Tak mi się wydawało.

- Proszę mi o nim opowiedzieć.

Sprawiła mu przykrość. Tak, to widać.

Czego się spodziewała? Przecież właśnie dlatego tak długo zwlekała z wyprawą do Australii. Gdyby nie dziecko, wcale by tu nie przyjeżdżała.

- Pracowałam dla „Lekarzy bez granic” - zaczęła. - W Etiopii. Jeszcze na studiach obiecałam sobie, że do nich się zgłoszę. Żeby... coś zmienić.

- To niezwykła organizacja - zauważył, zniżając głos. - Wysyła lekarzy w te rejony świata, gdzie są najbardziej potrzebni.

- To jest nieustająca potrzeba, a lekarzy zawsze jest za mało - rzekła ze smutkiem i rezygnacją w głosie. Czowała to, ale nie wiedziała, jak to zmienić. - Byli tam lekarze z wielu krajów. Praca była... koszmar. Nie można tego ciągle robić. Człowiek się wypala. Dwa lata pracowałam z wygłodzonymi dziećmi. Pod koniec byłam wyczerpana fizycznie i emocjonalnie. Zwłaszcza fizycznie. Pod koniec mojego kontraktu przyjechał Corey.

- Corey... - szepnął Dev.

- On był... niesamowity. - Przypomniawszy ten okres. - Przyjechał bez zapowiedzi i pracował do upadłego. Był uzależniony od pracy. I śmiał się. Zawsze był w dobrym nastroju. W tym koszmarnym miejscu był jak światełko nadziei. Jego optymizm udzielał się głodującym dzieciom. Sprawiał, że te niedożywione maleństwa w beznadziejnym stanie... się uśmiechały. - Zawahała się. - Był dla nich darem niebios. Dla mnie też.



- I pani się w nim zakochała? - Nie krył zdziwienia, a ona uśmiechnęła się szerzej. Tym wspomnieniem warto było się dzielić. Było to jedno z niewielu takich wspomnień.

- Oczywiście. Przynajmniej tak mi się wydawało. Myślałam, że znam go bardzo dobrze. Ślubu udzielił nam obozowy kapelan, a uczta weselna składała się z naszych racji ryżu i wody, ale to nam nie przeszkadzało. Było pięknie.

- A potem dowiedziała się pani, że Corey jest chory?

- Wróciliśmy do Anglii, bo się rozchorowałam. Nie wiem, może nie myślałam racjonalnie, nawet zanim poznałam Coreya, w każdym razie przestałam dawać sobie radę... nawet pomimo jego uroku. Obiecał, że wrócimy do Anglii.

- Nie proponował podróży do Australii? Żeby poznała pani jego rodzinę? - zapytał Dev.

- Byłam bardzo chora. Nadawałam się tylko do tego, żeby odwieźć mnie do domu, do Anglii. Poza tym Corey twierdził, że nie ma rodziny.

W jego spojrzeniu wyczytała ból. Opadła na poduszki. Ona także została zraniona. Podobnie jak Dev. I jego rodzina.

Musi mu to wyjaśnić. Musi. Dlaczego nie dostrzegła demonów nękających Coreya.

- Byłam... bardzo chora. Od paru miesięcy cierpiałam na dyzenterię. Miałam malarię. Byłam ledwie żywa. Gdybym poznała go w innych okolicznościach, zapewne zadawałabym więcej pytań. Może zorientowałabym się...

- Miał stany euforyczne?

- Tak. - Przykro było jej o tym mówić. - Był bardzo chory. Brał leki, o jakich mi się nie śniło. Medycyna, ślub, konieczność przewiezienia mnie do Anglii... Wszystko to razem chyba sprawiło, że uznał, że może odstawić leki. Kiedy przyszedł kryzys... byłam przerażona. Dopiero wtedy zrozumiałam, skąd on ma tyle energii. Pojęłam, jak bardzo jest chory. - Zawahała się. - Nie wiem... Do dzisiaj nie wiem, jak bardzo był chory.

- Był na studiach, kiedy stwierdzono u niego tę chorobę. Zespół maniakalno-depresyjny. Leczył się od dwudziestego roku życia.

- Domyśliłam się.

- Co było potem?

- Kiedy doszłam do siebie, próbowałam z nim rozmawiać. Udzielał wymijających odpowiedzi. Kiedy wylądowałam w szpitalu, odwiedzał mnie bardzo rzadko. Podczas ostatniej wizyty zapytałam go wprost... - Przygryzła wargę. - Zapytałam go, jakie leki powinien brać.

- Na pewno mu się to nie spodobało.

- Tak - potwierdziła zmęczonym głosem. - Zadałam mu to pytanie i więcej go nie widziałam. - Przymknęła powieki. - Niewiele mogłam zrobić. Próbowałam nawiązać z nim kontakt. Wiem tylko, że znalazł pracę w Szkocji. Nie chciał mnie oglądać.

- Tak jak i nas.

- Wtedy już się domyślałam, że gdzieś jest jego rodzina, która może nawet martwi się o niego, ale nic nie mogłam zrobić. Nie chciał o was mówić. Kiedy rozmawiałam z nim przez telefon po raz ostatni... przedostatni... powiedział, że już jest zdrowy i że postanowił znowu pojechać do Etiopii. Twierdził, że wrócił do Anglii tylko ze względu na mnie, ale w tej sytuacji... Zarzucił mi, że to, że dowiedziałam się o jego chorobie, zniszczyło nasz związek. Tak mi powiedział. Że nie może zaakceptować myśli, że ja o tym wiem. Taki był koniec.

- To przykre...

- Nie musi mi pan współczuć. Ma pan własne problemy. - No, wyrzuciła z siebie to, co wydawało jej się takie trudne. Ale nie najtrudniejsze. - Pobyt w Etiopii był bardzo dziwny. Czułam się tam samotna, nieszczęśliwa i zawzięta. W pewnym sensie Corey uratował mi życie, a na pewno sprawił, że nie oszalałam. To mnie trzyma. Już nie mogę mu pomóc, ale pamiętam, ile dla mnie zrobił.

Dev kiwał głową. On mnie rozumie, pomyślała z ulgą. Zapewne z powodu Coreya.

- I już więcej go pani nie widziała?

- Niezupełnie. Nie widziałam go przez dwa lata. Nawet zaczęłam od nowa układać sobie życie.

- Wzięliście rozwód?

- Nie.

- Więc kiedy widziała go pani po raz ostatni? - zapytał tak obojętnym tonem, że aż na niego spojrziała.

On kochał brata. Przez tyle lat próbowała wyobrazić sobie rodzinę Coreya, a teraz nareszcie ją poznaje.

- Siedem miesięcy temu - powiedziała półgłosem. - Jestem tego stuprocentowo pewna. Widziałam się z nim na dzień... przed jego śmiercią.

Znieruchomiał.

- Spotkała się pani z nim?

- Przyszedł do mojego służbowego mieszkania. - Teraz będzie najgorsze. - Skończyłam właśnie dyżur. Miałam tego dnia urodziny. Na moją cześć zespół pediatryczny urządził niewielkie przyjęcie, odśpiewali mi „Sto lat”, ufundowali tort. Wróciłam do domu obładowana kwiatami... i zastałam Coreya. - Zawahała się.

Ich wyznania uzupełniały się nawzajem.

- My też nie widzieliśmy go przez parę lat - powiedział powoli Dev. - Po Etiopii kontakt się urwał. Domyślałem się, że jego stan się pogorszył. Próbowałem go odnaleźć.

- Był w koszmarnym stanie - szepnęła. - Na dnie rozpacz. Od dawna nie jadł. Sama skóra i kości. Przyjęłam go, wykapałam, nakarmiłam... tuliłam go. Wiedziałam, że potrzebuje pomocy medycznej, ale była noc... Wydawało mi się, że tylko mogę trzymać go w ramionach. Nad ranem zasnęłam, a kiedy się obudziłam, jego już nie było.

- Kiedy to miało miejsce? - zapytał Dev, zniżając głos.  
- We wrześniu. Dziesiątego.  
- Jedenastego odebrał sobie życie.  
- Wtedy o tym nie wiedziałam. Później dowiedziałam się, że rzucił się pod pociąg. Tej samej nocy.

- Spała z nim pani tej nocy, kiedy umarł?

- Tak.

- O Boże. - Dev ukrył twarz w dłoniach.

- Wsiadł do pociągu do Szkocji... Zanim dowiedziałam się, co się stało, władze skontaktowały się z wami. Na policji powiedziano mi, że jego rodzina z Australii już tam przyjechała. Żeby odebrać ciało. Uznałam, że nie mam prawa zjawiać się nagle, jak intruz, ja, która lata temu przez dwa tygodnie byłam jego żoną... Żoną, która nie potrafiła mu pomóc.

Było jeszcze jedno pytanie, które powinno paść w tej trudnej rozmowie, i Dev je zadał:

- A to dziecko?

- To jest dziecko Coreya - odparła, patrząc mu prosto w oczy. - Nie wiedziałam... nawet w najśmielszych marzeniach... ale tamtej nocy nawet nie przyszło mi do głowy myśleć o antykoncepcji. A potem, kiedy zginął, pograżyłam się w żałobie. Byłam w trzecim miesiącu, kiedy dotarło do mnie, że jestem w ciąży.

Dev milczał przez dłuższą chwilę.

- Gdyby wiedziała pani o tym wcześniej - zapytał w końcu - zdecydowałaby się pani ją usunąć?

- Chyba pan żartuje?! - oburzyła się. - Te krótkie chwile spędzone z nim były cudowne. To dziecko jest jedyną dobrą rzeczą, która wynikła z tego naszego dziwnego związku. Corey będzie żył nadal w osobie tego dziecka... - Głos jej się załamał. - Uznałam, że powinniście o tym wiedzieć.

Dev jest silny, nie taki jak Corey. Owszem, w jego śmiechu pobrzmiwa nuta smutku, ale na pewno niełatwo było być bratem Coreya.

- Ma pani warunki, żeby samotnie wychowywać dziecko?

- Oczywiście. Podejrzewa pan, że przyjechałam tu prosić o wsparcie finansowe?

- Ani przez chwilę. - Pokręcił głową. - Od pierwszej chwili zaistniała pani w moim życiu jako bohaterka. To, co teraz usłyszałem, w najmniejszej mierze nie zmienia mojej opinii na pani temat.

Zaczerwieniła się.

- Nie jestem bohaterką.

- Może nie. Może po prostu jest pani sobą, Emmą. Emmą, która przygarnęła mojego brata tej nocy, kiedy odebrał sobie życie. Emmą, która przejechała pół świata, żeby jej dziecko poznało rodzinę swojego ojca. Żeby dać nam ten dar.

- To nie jest dar.

- Jest, Emmo. - Wyczuła drżenie w jego głosie. Wziął głęboki wdech. - Emmo, potrzebuje pani snu. Przykro mi, że samolot odleci bez pani. - Potrząsnął głową, jakby zastanowiwszy się, zmienił zdanie. - Nie, wcale tego nie żałuję. Te wszystkie komplikacje dadzą się rozwiązać. Na razie proszę o nic się nie martwić. Niech pani pozwoli, żebym się panią opiekował, żeby zbadał panią położnik, żeby Madge kupiła pani parę szykownych nocnych koszul. - Zawahał się. - Czy moja matka może panią odwiedzić?

- Pańska matka?

- Ma na imię Lorna. Tata zmarł dwa lata temu. Została tylko mama. -

Uśmiechnął się szeroko. - Jest przekonana, że Corey umierał samotnie. Że nikogo nie miał i że nikomu na nim nie zależało. Że wybrał śmierć, ponieważ był samotny. Ale pani go przygarnęła. Dała jej... nam... najwspanialszy dar. Jej wnuka. Ona z radością panią tu odwiedzi. Pokocha panią od razu. Oboje panią... pokochamy.

Nim się zorientowała, pochylił się, by ją pocałować.

Spodziewała się pocałunku wdzięczności, braterskiego muśnięcia, a on pocałował ją w czoło. Tylko tyle.

Lecz wrażenie, jakie to na niej wywarło... Dev, zmieszany, pospiesznie się odsunął. Nie to miało się wydarzyć. Uśmiechnął się niepewnie.

- Proszę spać - szepnął. - Śpij, Emmo.

Bez słowa wyszedł z pokoju, a ona jeszcze długo leżała, dotykając tego miejsca na czole, gdzie nadal czuła ciepło jego warg.

Doktor Harriet Straw była szczerą aż do bólu.

- Zważywszy na fakt, że wyrzuciło panią z samochodu pomimo pasów, należało spodziewać się nawet poważnego krwawienia. Jest pani cała posiniaczona. Mimo to skończyło się na niewielkim plamieniu, a serce dziecka bije mocniej niż moje. Uważam, że miała pani dużo szczęścia...

- Czy to znaczy, że mogę...?

- Wykluczone. Nie wolno pani latach Ani wstać z łóżka. Ma pani leżeć przez trzy dni, a potem przez dwa tygodnie nie wolno pani niczego dźwigać ani podnosić. Do rozwiązania już niedaleko, więc dźwiganie i podnoszenie proszę sobie zostawić na po porodzie. Nie ma mowy o lataniu.

- Nie chcę tu leżeć do porodu.

Ktoś zapukał do drzwi. Gdy lekarka je otworzyła, w progu stanął Dev.

- Mogę załatwić pani mieszkanie w Brisbane - ciągnęła. - Ale dopiero za trzy dni. - Zerknęła na Deva. - Z dzieckiem wszystko jest w porządku - poinformowała go - ale pacjentka musi leżeć. Mogę dla niej zarezerwować służbowe mieszkanie przy szpitalu.

- To nie będzie konieczne - odrzekł. - Emma może zamieszkać tutaj.

- W Karington? - Doktor Straw ściągnęła brwi. - W przyszłym tygodniu zaczynają się szkolne wakacje, więc tutaj wszystkie kwatery na pewno już są zarezerwowane. Od kiedy macie tu służbowe lokum?

- Może mieszkać u nas.

- Słucham?!

- To jest dziecko Coreya - wyjaśnił ku jej najwyższemu zdumieniu.

Doktor Straw zdjęła okulary, przetarła je bardzo starannie, po czym ponownie je włożyła.

- Dziecko Coreya... - wyszeptała.

- Tak.

- Nie mówiłeś mi. - Spiorunowała go wzrokiem, po czym spojrzała na Emmę.

- Nie powiedziała mi pani.

- Właśnie cię o tym informujemy - pospieszył Dev. Doktor Straw wpatrywała się w Emmę szeroko otwartymi oczami.

- Nosi pani dziecko mojego chrześniaka?

- Jeśli Corey był pani chrześniakiem... Doktor Straw odchrząknęła.

- Lorna wie o tym? - wykrztusiła.

- Zaraz jej to powiem - obiecał Dev.

Doktor Straw odchrząknęła jeszcze raz, po czym się rozplakała.

## ***ROZDZIAŁ PIĄTY***

To był zaledwie początek. Dobrze, że kazano jej leżeć, bo w jej głowie zapanował taki zamęt, że nie była w stanie nawet wyobrazić sobie przyszłości.

Ma rodzinę. Nie, to jej dziecko ma rodzinę.

Zdumiewające.

Ona była jedynaczką. Jej ojciec zmarł, gdy miała dziesięć lat, a matka, której praktycznie nie można było nic zarzucić, była po prostu emocjonalnie chłodna, więc to uczucie rodzinnego ciepła wprowadziło Emmę w zdumienie.

Spodziewała się... Nie wiadomo, czego się spodziewała. Uznała, że powinna zawiadomić rodzinę Coreya, że jest matką jego dziecka, ale nie oczekiwała, że zostanie przyjęta tak... gorąco.

Tyle miłości... myślała.

Gdy doktor Straw niespodziewanie załapała się łzami, Dev wyprowadził ją z pokoju, lecz tuż za drzwiami zacna lekarka zasypała go lawiną słów, które dotarły do Emmy:

- Dev, musisz o tym natychmiast powiedzieć matce.

- Powiem jej wieczorem.

- Nie. W tej chwili jedź do domu i zaraz jej o tym powiedz. Jeśli ty tego nie zrobisz, ja to zrobię.

- Nie wiem, jak to przyjmie - wykręcał się.

- A ja wiem. - Drzwi były niedomknięte, lecz oni nie zdawali sobie z tego sprawy. - Lorna do tej pory nie może sobie wybaczyć, że Corey całe życie był samotny. A on miał żonę! I będzie miał dziecko. Dev, przecież to wszystko zmienia.

- Do uszu Emmy dotarło znamienne chlipnięcie pani doktor, a potem jej stanowczy ton. - Dev, jedziemy. Zrobimy to razem. Teraz.

Tak też uczynili. Nie minęło pół godziny, jak Lorna O'Halloran stanęła w drzwiach szpitalnego pokoju Emmy. Widać było, że płakała. W tej samej chwili Emma poczuła, jak znikają jej wątpliwości, czy słusznie postąpiła.

Ta wizyta jeszcze dobitniej pokazała jej, jak podstępna chorobą jest zespół maniako-depresyjny. Przez kilka dni bezczynności miała okazję dokładnie to przemyśleć. Przyczyną choroby psychicznej Coreya zdecydowanie nie były wcześniejsze problemy. Był dzieckiem bezgranicznie kochanym. Przez matkę, ojca oraz starszego brata.

Przez Deva. Dev...

Stanął w drzwiach jak za dotknięciem magicznej różdżki. Zaglądał do niej bardzo często. Mierzył jej ciśnienie, poprawiał poduszki, uśmiechał się...

Ten uśmiech za każdym razem ją peszył.

To dlatego, że jest podobny do Coreya, tłumaczyła sobie. Nie dopuszczała do siebie myśli, że przyczyna jej zmieszania może być inna.



Stał w drzwiach i się uśmiechał.

- Nie śpisz?

Ten cholerny uśmiech.

- Nie śpię.

Podszedł do łóżka, by poprawić jej pościel. Nie powinien stawać tak blisko.

Za blisko. Co mogłaby z tym zrobić?!

- Nie śpię - powtórzyła nienaturalnym głosem. - I potwornie się nudzę.

- Czyżby?

- Jak Boga kocham.

Znowu się uśmiechnął. Czy on wie, jakie to na niej robi wrażenie? Mógłby przestać.

Nie, niech za nic w świecie nie przestaje.

- Wobec tego porozmawiajmy o przeszłości - zaproponował.

- Nie ma o czym.

- Musisz o tym pomyśleć. Przespałaś cztery dni.

- Nieprawda!

- Bez para godzin. Twój organizm dostał niezłe cięgi.

- Już nic mi nie jest.

- Owszem, twój stan się poprawił, ale jeszcze nie jesteś w najwyższej formie.

Nie w tym jednak rzecz. Rozmawiałem dzisiaj z doktor Straw, która pozwoliła, żebym jutro zabrał cię do domu.

- Do domu? Mój dom jest w Londynie, w Anglii. Nic z tego. Chyba że w twojej prywatnej przystani czeka na mnie statek.

Uśmiechnął się, kręcąc głową.

- Radzę ci zastanowić się nad nową definicją domu. - Zawahał się. - Wiem od Margaret, że dzwoniłaś do Anglii. Zawiadomiłaś wszystkich, co się dzieje?

- Wszystkich? Tak.

- Masz rodzinę?

- Mam przyjaciela.

- Przyjaciela? - zapytał, udając obojętność. Czyżby się spieszył? To dobrze, pomyślała. Nie będę taka osamotniona.

Uznała jednak, że należy mu się wyjaśnienie.

- Zaczęłam spotykać się z Paulem, zanim Corey zjawił się u mnie. Niedługo przed jego śmiercią. Paul rozumie, dlaczego tamtej nocy spałam z Coreym. Zachował się wspaniale.

- Jesteście zaręczeni?

- Nie chciałam się zaręczać, dopóki dziecko nie przyjdzie na świat.

- Ale go kochasz? Wzmogła czujność.

- To cię nie powinno interesować - zauważyła.

- Masz rację. - Znowu się uśmiechnął. Nagle przyszło jej do głowy, że byłby z niego doskonały lekarz rodzinny, bo pacjenci z przyjemnością wszystko by mu o sobie opowiadali.

Westchnęła. Nie ma powodu, by robiła z tego tajemnicę.

- Bardzo... bardzo go lubię - wyznała - ale noszę dziecko innego mężczyzny. Chciałabym, żeby Paul wiedział, w co się angażuje. Chcę najpierw zobaczyć, jak zareaguje na dziecko. On jest gotowy wziąć ślub w każdej chwili, ale ja uważam, że powinien jeszcze trochę z tym poczekać. - Sama potrzebowała czasu do namysłu, ale o tym wolała nie wspominać.

Boże, jaki on jest pociągający z tym marsowym obliczem, pomyślała. Kobieto, opanuj się! Hormony? Jesteś w siódmym miesiącu ciąży!

- Rozumiem - odparł Dev półgłosem.

- Może nawet Paul przyjedzie na poród. - Starła się, by brzmiało to przekonująco. - Wystąpił o parę wolnych dni. Jest chirurgiem ortopedą w tym samym co ja szpitalu. Bardzo się przejął tym, że tu ugrzęzłam.

- Wyobrażam sobie.

- Przyznał mi rację, kiedy powiedziałam, że wynajmę mieszkanie w Brisbane.

- Starala się nie myśleć, jak ponure będzie to mieszkanie.

- Dlaczego myślisz o mieszkaniu w Brisbane?

Zastanowiła się głęboko. Dobre pytanie. Ale już wszystko zostało omówione z Paulem i jest to wyjątkowo sensowna decyzja.

- Żeby do rozwiązania miała gdzie mieszkać. Paul znalazł w Brisbane bardzo dobry szpital.

- Tutejszy też jest bardzo dobry - zauważył Dev. - Harriet Straw o niczym innym nie marzy, jak o tym, żeby odebrać właśnie ten poród. A ja mogę jej asystować.

- Nie mogę tu zostać - oznajmiła.

- Mojej matce serce pęknie.

Emma się zamyśliła. Szczerze pragnie wprowadzić swoje dziecko do tej rodziny, ale do jakiego stopnia chce się z nią wiązać? Na dodatek to, co czuje do Deva...

- Dev, sama nie wiem. Czy to rozsądne? Twoja matka jest bardzo kochana. Wiem, że chcecie, żebym została, ale...

- Jesteś jej potrzebna.

- Nie mogę tu zostać na zawsze.

- Wobec tego zostań z nami do narodzin wnuka mojej matki. -

Niespodziewanie proszącym gestem ujął jej dłonie. - Musisz.

- Dlaczego?

Długo milczał, uwolnił jej ręce i z miną człowieka, który postawił wszystko na jedną kartę, wyznał:

- Czuję, że od śmierci Coreya matka balansuje na krawędzi obłędu.

- Wydaje mi się to zrozumiałe.

- Nie byłbym tego taki pewien. - Stał odwrócony do niej plecami, jakby nie chciał, żeby oglądała jego cierpienie. - Choroba mojego brata została zdiagnozo-

wana tuż przed końcem jego studiów. Nie życzył sobie, aby ktokolwiek się o tym dowiedział. Kiedy zaatakowała po raz pierwszy, z matką skontaktowała się policja - mówił zniżonym głosem. - Pojechała wtedy do Brisbane, zajęła się nim, mieszkała z nim, aż dzięki lekom wrócił do normy. Nikomu o tym nie mówiła. Ojciec był chory na serce... Bała się, że taki stres go zabije. Ja już byłem w Stanach. W ten sposób matka chciała nas chronić.

- Nic wam nie powiedziała?

- Ojcu tylko tyle, że Corey miał zapalenie płuc. Głupio zrobiła. Może mogliśmy mu pomóc...

- Prawdopodobnie nikt nie mógł mu pomóc - szepnęła Emma.

- Zaraz po dyplomie Corey wyjechał za granicę. - Westchnął. - Podobnie jak ja. Stale się mijaliśmy w naszych podróżach. Dopiero później się połąpałem, że on tak to aranżował. Matce donosił, że jest zdrowy, a ona mu wierzyła. Chciała w to wierzyć. Nie zdawała sobie sprawy, jak zdradliwa jest psychoza maniako-depresyjna.

- A ty?

- Kiedy Corey zadzwonił do mnie, żeby mnie poinformować o wyjeździe do Etiopii, był taki... spięty, że zacząłem się o niego martwić. Ale pomyślałem, że może rozstał się z dziewczyną albo coś w tym stylu. Zaproponowałem, że do niego przyjadę, ale powiedział, że nie trzeba. Za drugim razem dowiedziałem się, że poznał fantastyczną kobietę i że bym nie przyjeżdżał, bo mogę wszystko popsuć. Powiedział, że bym dał mu spokój.

- Domyślam się... Mam nadzieję, że chodziło mu wtedy o mnie.

- Chyba tak. Wkrótce potem zmarł nasz ojciec, a Corey nie przyjechał na pogrzeb. Wówczas był już w Anglii.

Może ostatecznie wytrąciła go z równowagi i popchnęła do samobójstwa niespodziewana wiadomość o śmierci ojca? - pomyślała.

- Niedługo po pogrzebie wpadłem na jego trop. Podjął pracę w jednym ze szpitali w Anglii, ale kiedy zatelefonowałem, żeby z nim porozmawiać, był... podejrzanie pobudzony. Dopiero wtedy dowiedziałem się od matki, na co jest chory.

- Och, Dev. - Psiakrew. Ta cholerna choroba w bolesny sposób dotknęła tyle osób, pomyślała. Jest podstępna jak rak. - Tak mi przykro...

- To nie jest twoja rola. - Spojrzał jej w oczy. - Ale możesz nam pomóc. Matka ciągle ma wyrzuty sumienia, że nie powiedziała o tym ojcu ani mnie. Jest na granicy obłądu. - Rozłożył ręce. - Emmo, zostań tu i daj jej wnuka. Żeby zobaczyła, że cała ta ponura historia ma szczęśliwe zakończenie.

Jak on na nią patrzy. Czy dlatego, że jest podobny do Coreya? Nie. Była tego coraz bardziej pewna. To coś innego. Poprosił ją, by została. Co mam do wyboru? - zastanawiała się. Mieszkanie w Brisbane i pobyt tutaj. Blisko Lorny O'Halloran. Oraz Deva.

- Gdzie mogę się tu zatrzymać?

- Mamy duży dom. Ogromny. Trochę zaniedbany, ale fantastyczny. Mój ojciec oraz dziadek byli tu lekarzami. Dziadek miał ośmioro dzieci, więc na pewno nie zabraknie tam dla ciebie miejsca.

- Może...

- Super - ucieszył się. - Jutro cię stąd zabieram.

- Chwileczkę! Powiedziałam „może”. Co na to twoja matka?

- Ona na pewno cię pokocha. Dobrze o tym wiesz.

- Nie mogę... - jęknęła.

- Możesz. Dlaczego miałabyś nie móc?

Jest co najmniej sto powodów. A nawet tysiąc.

- Emmo, muszę już iść. Za pół godziny odbędzie się pogrzeb Kyle'a. Muszę przygotować mowę pożegnalną. Ale proszę cię... Ja i matka chcemy się tobą zaopiekować. Zostań z nami, dopóki nie urodzi się dziecko Coreya. Bardzo cię o to proszę.

Szantaż emocjonalny. To nic innego jak szantaż emocjonalny!

Mimo to Emma czuła, że nie ma wyboru.

O jedenastej następnego dnia siedziała w samochodzie Deva, a cały personel szpitala stał na schodkach i machał jej na pożegnanie.

- Traktujecie mnie jak chińską cesarzową - rzuciła lekko zirytowana, gdy wyjeżdżali z parkingu.

- Uratowałeś Suzy życie. Zobaczysz, całe miasteczko będzie cię traktowało jak największy skarb.

- Suzy... - zawahała się.

- Suzy wraca do zdrowia. Chirurg plastyczny twierdzi, że jej blizny będą prawie niewidoczne. Jodie i pan Jeffries też zdrowieją. - Rzucił jej przelotne spojrzenie. - Mieliśmy cholerne szczęście. Gdyby nie ty...

- Gdyby nie ja, ciężarówka nie wpadłaby w poślizg i nie doszłoby do zderzenia.

- Ciężarówka jechała pod prąd. Gdyby najpierw nie zderzyła się z tobą, wpadłaby na szkolny autobus. Czołowo. Uratowałaś kilkanaście istnień ludzkich.

- Oprócz Kyle'a.

- Oprócz Kyle'a - powtórzył głucho, a ona się domyśliła, że przypomniał sobie niedawny pogrzeb chłopca.

W takim małym miasteczku wszyscy mieszkańcy głęboko przeżywają każdą śmierć. Ta fala empatii ją zdumiewała, ponieważ nieznane jej były tak silne więzi emocjonalne.

- Jak było na pogrzebie? Strasznie? - zapytała nieśmiało.

- Strasznie - przytaknął. - Ale oni byli wspaniali. Cała rodzina Kyle'a. Pięknie go pożegnali. - Uśmiechnął się do niej dziwnie. - Otrzymali od ciebie wielki dar. Umożliwiłaś im godne pożegnanie z synem.

- Tak samo byś postąpił.

- Ale nie z takim pietyzmem. Nie przyszłoby mi to do głowy. Tego nie uczą na studiach. Nie ma wykładów z tego, jak należy postępować z ludźmi, którzy stracili bliskich.

- A powinny być.

- Myślę, że nie da się tego przekazać w formie wykładu. Podejrzewam, że uczy nas tego samo życie.

- Zatem i ciebie byłoby na to stać - zauważyła cicho.

- Tak - mruknął, po czym skoncentrował się na prowadzeniu.

- Co robiłeś za granicą? - Zmieniła temat.

- Doskonałem się. Głównie w dziedzinie chirurgii onkologicznej. Guzy mózgu u dzieci.

- O matko. - Rozważała to w myślach. - Ambitnie jak na prowincjonalnego lekarza.

- Możliwe.

- Pracowałeś za granicą?

- Uczyłem się.

- Gdzie?

Gdy wymienił nazwę kliniki, najlepszej w całych Stanach, zagwizdała z podziwu.

- Ale wróciłeś w rodzinne strony.

- Kiedy zmarł tata, przyjechałem na pogrzeb, a Corey się nie zjawił. I wtedy matka musiała mi powiedzieć o jego chorobie. Po tym wszystkim... Nie mogłem znowu wyjechać.

- I utknąłeś tutaj. Podobnie jak ja.

- Tak bym tego nie ujął.

- Nie żal ci tamtej pracy?

- Tutaj czerpię satysfakcję innego rodzaju. Rekompensują mi to inne sytuacje.

- Starasz się jak najlepiej to wykorzystać.

- Tak sędę.

Emma zauważyła, że chociaż się uśmiechnął, kierownicę ścisnął tak mocno, że aż mu knykcie pobiełały. Jego też najwyraźniej dręczą jakieś demony, pomyślała. Jakie?

Jechali tą samą szosą, na której doszło do wypadku. W miejscu, gdzie nastąpiła kolizja, Emma zobaczyła kilka połamanych słupków i przewróconą barierkę. Nic więcej.

Rany się zablizniają, a życie toczy się dalej.

Kilka minut później skręcili w boczną drogę prowadzącą w stronę morza. On tu mieszka?

- Dom lekarza znajduje się tak daleko od miasteczka? - zdziwiła się.

- Trochę to niewygodne, ale to było wspaniałe miejsce. Dawniej. Zamierzam się stąd wyprowadzić.

„Wspaniałe miejsce” to mało powiedziane, pomyślała, gdy zatrzymali się przed okazałym domostwem.

- O rany! - sapnęła.

- Sama widzisz.

Do rezydencji lekarza jechało się kilkaset metrów przez zarośla, by nagle znaleźć się w pełnym słońcu, na wysokiej skarpie z morzem w tle.

Do domu przylegał ogród z imponującymi eukaliptusami, a weranda aż tonęła w kwiatach bugenwilli i pnących róż. Ogród wyglądał na bardzo zaniedbany i należało natychmiast nim się zająć, by ratować jego dzikie piękno.

Dalej był szafirowy ocean.

Emma z wrażenia wstrzymała oddech. Doznała dziwnego uczucia. Do tej pory nie czuła się związana z żadnym miejscem. Była niezależna, tutaj zaś odniosła wrażenie, że nareszcie znalazła się... u siebie.

- Istny raj - wyszeptała.



- To prawda. - Dev uśmiechnął się nieznacznie. - Czy sądzisz, że wytrzymasz tutaj do rozwiązania?

- Jeśli to konieczne. Och, Dev. - Wsiadła z auta i rozejrzała się dokoła. - Jak tu pięknie.

- Zapraszam do środka. - Dev promieniał. - Niedługo przyjedzie mama. Obiecała, że pomoże ci się tu urządzić.

- Twoja matka? Ona tu... nie mieszka?

- Już nie.

- Jak mam to rozumieć?

- Po śmierci ojca, a potem po śmierci Coreya, nie mogła tu wytrzymać. Za dużo w tym domu duchów.

- Duchy są cudowne. - Weszła na werandę, gdzie pachniało różami i morzem. Wśród gałązek bugenwilli uwijało się stadko kolorowych papużek. - Myślałam, że ona tu mieszka.

- Niestety nie. Nie mówiła ci o tym?

- Powiedziała tylko tyle, że mam tu zamieszkać. Pomyślałam...

- Źle pomyślałaś.

- Będę tu mieszkać tylko z tobą - rzekła w zamyśleniu.

- Nie sądziłem, że poczujesz się skrepowana. Może powinienem cię o tym uprzedzić. Tu jest bardzo pięknie, ale też i samotnie. Rzadko bywam w domu.

- Margaret to odpowiada?

- Margaret?

- Twojej narzeczonej.

- Margaret nie jest moją narzeczoną.

- Nie?

- Nie.

- Mnie nie oszukasz - prychnęła. - Cały szpital mówi, że zamierzacie się pobrać.

- Nie podjęliśmy decyzji o ślubie. Westchnęła, popatrzyła na papugi, potem na ocean.

Może jednak nie powinna tu się zatrzymywać.

- Dev... Postawmy sprawę jasno. Nie wiem, jak to powiedzieć. Na miejscu Margaret...

- Nie będę cię napastował.

- Ja też nie zamierzam cię uwodzić - odcięła się.

- Ale nie wiem, jak Paul zareaguje na wiadomość, że mieszkam pod jednym dachem z mężczyzną oraz że to potrwa dwa miesiące.

- Myślę, że Paul ma do ciebie zaufanie.

- Ufa mi na tyle, że zaakceptował, że noszę dziecko innego mężczyzny, ale wolałabym jednak nie przeciągać struny.

- Nie masz wielkiego wyboru. Przecież sama zdecydowałaś, że tu przyjedziesz w siódmym miesiącu ciąży - wytknął jej. - To było bardzo nierozsądne posunięcie.

Denerwujący facet. Taki cholernie rezolutny.

- Prawdę mówiąc, niedojrzałe - ciągnął, a ona poczuła, że za chwilę go kopnie.

- Wiem o tym - wycodziła przez zęby. - I ponoszę tego konsekwencje.

Ugrzęzłam na tym zadupiu...

- Na zadupiu?

- Na końcu świata.

- Proponowano mi fortunę za ten dom - rzekł ostrożnie. - Mnóstwo ludzi dałoby majątek, żeby tu zamieszkać.

- Ale ja nie jestem mnóstwem ludzi.

- Jest was dwoje. - Rozciągnął wargi w uśmiechu.

- Nie, ty do nich nie należysz. Bo mnóstwa ludzi nikt by tu nie zaprosił.

- Na przykład Margaret?

Znowu wkroczyli na niebezpieczny grunt, bo rysy Deva nagle stężały.

- Emmo, jeśli mamy tu razem mieszkać, lepiej zawczasu ustalmy tematy, których nie wolno poruszać.

- Na przykład Margaret? - powtórzyła.

- Zdecydowanie.

- Ale zamierzasz się z nią ożenić, prawda?

- Nie masz... To nie twoja sprawa.

- Całe miasteczko o tym mówi.

- No to co? - Powoli tracił cierpliwość. - Przepraszam, muszę wracać do szpitala.

- Chcesz mnie tu zostawić na pastwę losu?

- Tak. - Otworzył drzwi. - Jeśli przez pięć minut powstrzymasz się od analizowania moich spraw sercowych, oprowadzę cię po domu.

Co ja tu będę robić? - myślała pośpiesznie, idąc za nim. Leniuchowanie na leżaku nie należało do jej ulubionych zajęć.

- Chyba będzie mi się tu nudziło - zauważyła.

- Zapiszę cię do naszej wypożyczalni książek. W progu stanęła jak wryta.

- Och!

- Co się stało?

- Ładnie tu.

Nieprawda. Na zewnątrz dom prezentował się dostojnie, romantycznie i... gościnnie. Wewnątrz wcale nie było przyjemnie. Wszędzie opuszczone rolety. Drzwi z holu otwarte do dwóch pokoi. Mało mebli, a te, które tam stały, przykryte pokrowcami.

Pusto i ponuro.

- Nie korzystam z tych pokoi - wyjaśnił Dev. - Tutaj jest tylko moja sypialnia, a mieszkam tam dalej. - Prowadził ją szerokim korytarzem w głąb domu.

- Dzięki Bogu. Nie wyobrażam sobie, jak można by chcieć tu mieszkać.

Ta część prezentowała się nieco lepiej. Nieco. Kuchnia nawet wyglądała na używaną. Była ogromna. I świeciła pustkami. Stał tam wielki piec na drewno, paskudna nowoczesna kuchenka z piekarnikiem oraz kuchenka mikrofalowa. Zamiast okazałych rozmiarów stołu w rogu stał brzydki laminowany stolik dla czterech osób, jak w stołówce.

- O rety! - wyrwało się jej.

- Tak, wiem, brzydki tu. Po śmierci ojca i Coreya matce wszystko ich przypominało, więc wiele rzeczy usunęła, ale kiedy to nie pomogło, wyprowadziła się. Zabrała ze sobą to, czego się nie pozbyła, a mnie nie chciało się kupować nic nowego.

- Dlaczego?

- Może i mnie dręczą duchy? Może też powinienem się wyprowadzić? -

Westchnął.

- Tu jest fantastycznie.

- Pusto.

- Można od nowa urządzić cały dom.

- Tylko dla jednej osoby? Mnie to wystarczy.

- Na dwa dni. - Prychnęła. - Nie chcę tu mieszkać przez dwa miesiące.

- Jeśli chcesz, możesz zrobić remont - powiedział obojętnym tonem. - Pokryję wszystkie koszty.

Przyjrzała mu się podejrzliwie.

- Jeśli mam tu mieszkać do porodu, sama zapłacę za remont. Odnoszę wrażenie, że dałeś mi do zrozumienia, że nawet nie zauważysz, jeśli coś się tutaj zmieni.

- Ja tu tylko nocuję. W tej okolicy jest za dużo pacjentów jak dla jednego lekarza. Cały czas jestem zajęty. A jak uda mi się załatwić zastępstwo, wyjeżdżam do Brisbane. Prawie tu nie mieszkam.

Podeszła do okna i odsunęła zasłonkę w kratkę. Rozciągał się przed nią widok na góry i morze.

- Kiedyś musiało tu być cudownie - szepnęła.

- Było. Kiedy żyli ojciec i Corey. Oni byli... wspaniali.

- Tak, byli wspaniali, ale umarli - rzuciła zirytowanym tonem. - Czy ten dom też musi być skazany na śmierć?

- Ja...

- Coreyowi na pewno by się to nie podobało.

- Nie wiesz, co mu się nie podobało. Czy możemy...?

- Wiem doskonale. I nie zabraniaj mi mówić o zmarłych. Corey był twoim bratem. Moim mężem. Był chory i umarł. Ale jeśli myślisz, że podobałoby mu się mauzoleum ku jego czci, to grubo się mylisz.

- Wcale nie uważam, że Corey chciałby mieć mauzoleum. To nie chodzi o niego.

- I nie dlatego tak żyjesz, żeby się umartwiać z powodu ojca i Coreya? - natarła. - To dlaczego? Z powodu pracy? Ambicji zawodowych?

- Daj mi spokój.

- Nie widzę powodu, dla którego miałabym ci odpuścić.

Popatrzył na nią, po czym westchnął.

- Emmo, to jest bez sensu.

- Też tak uważam - przyznała.

- Nie o dom mi chodzi, ale o to, że się sprzecząmy. Musimy znaleźć jakiś sposób, żeby ułożyć sobie harmonijne współzycie.

- Mhm. Popatrzył na zegarek.

- Już po jedenastej. Teraz mam wizyty domowe, a po południu przychodnię. Niedługo przyjedzie matka z jedzeniem. Na kolację wrócę albo nie. Dasz sobie radę?

- Z czym? Z czekaniem na jedzenie? - warknęła.

- Czego jeszcze ci trzeba?

- Nie wiem - odparła. - Jedź już do pracy, a ja się zastanowię.

Może lepiej wynająć mieszkanie w Brisbane?

Przechadzała się po pustym domu do wtóru echa własnych kroków.

Porozsuwała wszystkie firanki, otworzyła wszystkie okna. Mimo to wewnątrz nadal królował mrok. To przez tę bugenwillę, pomyślała. Za bardzo się rozrosła i zasłania okna.

Mam tu siedzieć przez dwa miesiące?! Oszaleję.

Od dziecka wpajano jej, że beczynność jest grzechem. Ma grzeszyć? Do dnia, w którym wsiadła do samolotu do Australii, harowała jak wół. A teraz co?

Ma odpoczywać? Zgoda, należy jej się kilka dni na zwolnionych obrotach.

Doktor Straw słusznie kazała jej się oszczędzać. Dla dobra dziecka.

- Ale nie mogę tu siedzieć z założonymi rękami. Na dodatek sama jak palec.

- Może Dev zdąży na kolację.

- Super. Nakryję do stołu i ogrzeję mu kaptcie. Co jeszcze?

Można by pomyśleć o własnej garderobie. Popatrzyła na bezkształtną sukienkę dla przyszłych mam, najlepszą, jaka była w miejscowych sklepach, która jednak nie bardzo przypadła jej do gustu.

Po co mi lepsza? I tak wyglądam jak hipopotam, a za parę tygodni mi to przejdzie, pomyślała ponuro.

Co jeszcze można zrobić?

W tym momencie ktoś cicho zapukał do drzwi. Wzięła głęboki wdech. To Lorna. Trzeba z tym skończyć. Pomyśleć o powrocie do niezależności. Wynająć drugi samochód?

Lepiej nie. Gdy ze szpitala zawiadomiła wypożyczalnię o wypadku, dyspozytorka nie była zachwycona.

Czy człowiek, który rozbił jeden samochód, zasługuje na wypożyczenie następnego? Jeśli firma uzna, że nie, to trzeba będzie go kupić. Koniec z ubezwłasnowolnieniem.

Na razie jednak musi korzystać z pomocy innych. Podeszła do drzwi z przyklejonym uśmiechem wdzięczności na wargach.

To nie była Lorna. Na progu stała Katy. Jej prawa ręka w dniu wypadku. Dziewczynka wyglądała na bardzo onieśmiałą. Gdy Emma otworzyła drzwi, zrobiła krok do tyłu, jakby chciała uciec.

- Dzień dobry - wykrztusiła.

- Katy! - ucieszyła się Emma.

- Mama pyta, czy czegoś pani nie potrzeba.

- Mieszkasz niedaleko?

- Za wzgórzem.

- Nie jesteś w szkole?

- Jutro zaczynają się ferie, ale dzieci z autobusu wrócą do szkoły dopiero w nowym semestrze. - Mówiła szeptem, jakby nadal czegoś się obawiała. - Pan Jeffries jest w szpitalu. Ma złamany obojczyk, więc siedzimy w domu. Niektórzy poszli wczoraj na pogrzeb Kyle'a, ale mama powiedziała... Jeżeli niczego pani nie trzeba...

W oczach za grubymi szklami czaił się strach. Trauma.

- Czy ktoś rozmawiał z wami o tym, co się stało? - zapytała Emma. -

Przyjechał do szkoły psycholog?

- Nie chodzę do szkoły. Doktor O'Halloran zadzwonił do rodziców - szepnęła Katy. - Ale tata powiedział, że są dzieci w gorszym stanie niż ja. - Podniosła na Emmę spojrzenie pozbawione wyrazu. - Nie odniosłam żadnych ran.

- Czy mama i tata rozmawiali z tobą o tym?

- Tata powiedział, że im mniej słów, tym lepiej.

- Czasami to się sprawdza - westchnęła Emma. A czasami zamienia się w koszmary senne.

Najczęściej jest głównym motywem koszmarów.

- Napijesz się czegoś?

- A co pani ma? - zapytała Katy trochę odważniej. Ten temat był bezpieczny.

- Nie wiem. Sprawdźmy to. Niedawno tu przyjechałam, więc moja przygoda dopiero się zaczyna.

- Dlaczego to jest przygoda?

- Bo to jest opuszczony dom.

- On nie jest opuszczony. Przecież mieszka tu doktor O'Halloran.

- On tu nie mieszka, on tu nocuje, a to zasadnicza różnica. - Emma ściągnęła brwi. - Katy, co robisz w ferie?

- Nic.

- A chciałabyś coś robić?

- Pracować?

W głowie Emmy zrodził się pewien pomysł. Korzystny dla wszystkich. Jeśli Katy będzie siedzieć beczynn timer, rozmyślając tylko o tym, co się wydarzyło, nigdy się z tego nie wygrzebie, a i ona, Emma, potrzebuje pomocy. Jej również dobrze zrobiłaby rozmowa z psychologiem, a jeśli nie, to przynajmniej czyjeś towarzystwo.

- Jest praca, którą trzeba wykonać - zaczęła. - Jak widzisz, jestem w ciąży i lekarz nie pozwolił mi na wysiłek fizyczny. A tutaj jest tyle do zrobienia... Przydałabyś mi się ty i wszystkie dzieci z autobusu, które zechcą mi pomóc.

- Co mamy robić?

- Sprzątać. Zamiatać. Odkurzać. Malować. Uporządkować ogród. Doktor O'Halloran powiedział, że mogę tu robić, co mi się żywnie podoba. Jak uważasz, czy tu jest ponuro? - Otworzyła szeroko drzwi i gestem zaprosiła Katy do środka. - Jak ci się tu podoba?



Dziewczynka zajrzała do dwóch pokoi, po czym niepewnie spojrzała na Emmę, jakby zdziwiona tym, że osoba dorosła pyta ją o zdanie.

Emma poprowadziła ją korytarzem do dwóch następnych pokoi. Jeden był kompletnie pusty, a w drugim, gdzie Dev ulokował Emmę, stało tylko łóżko i komódka, a na niebieskich ścianach widniały ślady po obrazach.

- Tutaj jest strasznie - orzekło dziecko, a Emma się rozpromieniła.

- No widzisz. Ja też tak uważam. Podejmiesz się tej pracy?

- To ma być prawdziwa praca? Chyba jeszcze nie wolno mi pracować.

- Jeśli jesteś zainteresowana, porozmawiam z twoimi rodzicami. - Emma myślała błyskawicznie. - Trzeba zrobić plan. Ale przyszło mi do głowy... Jedna z pielęgniarek mówiła mi, że nad morzem, siedemdziesiąt kilometrów stąd, niedawno otwarto park rozrywki. Słyszałaś o tym?

- O tak. - Katy aż sapnęła, po czym spochmurniała.

- Ale tata powiedział, że tam jest bardzo drogo.

- Słuchaj, pogadajmy z innymi dziećmi i zobaczymy, co da się zrobić. - To może się udać. Dzieci będą miały zajęcie, co odciągnie ich myśli od tragicznych wydarzeń. Poza tym może być całkiem przyjemnie. - Najpierw porozmawiam z doktorem i jego matką - ciągnęła.

- Ale ogrodem trzeba zająć się natychmiast. Na pewno nie będą mieli nic przeciwko temu.

- Przeciwno czemu?

- Przeciwno jednej pracowitej pszczołce. Nie, przeciwko całemu ulowi pszczołek. A potem... wszyscy pojedziemy do parku rozrywki. Jako zapłata.

- Ale dlaczego? - szepnęła dziewczynka, tym razem jednak powodem nie był lęk. To był zachwyt.

Dlaczego? Mam powiedzieć prawdę? Zdecydowanie tak.

- Ponieważ ten dom powinien ożyć. Życie nie powinno zamierać, ponieważ Kyle zginął. Zrobimy to dla uczczenia Kyle'a. Zabierzemy do parku rozrywki jego

rodzeństwo. Jeśli zechcą, mogą nam tu pomagać. Nazwiemy to, ten program uporządkowania domu i ogrodu doktora O'Hallorana, „Programem Kyle'a”. Czy myślisz, że Kyle'owi by się podobało?

Katy długo się zastanawiała.

- Myślę, że bardzo.

- Doskonale.

O Boże, w co ja się pakuję? Ale odczuwała rozpaczliwą potrzebę towarzystwa. Te dzieci także nie powinny być same ze swoimi myślami o Kyle'u. Muszą je z siebie wyrzucić.

Dev nie będzie zachwycony. To przecież jego dom.

Nie, nie. To jest dom Deva i Coreya. Corey na pewno kochał to miejsce, a ona jest matką jego dziecka. I czuje się tu jak u siebie. Corey utwierdzałby ją w przekonaniu, że powinna tym się zająć. Zachęcałby ją.

Uśmiechnęła się do tych myśli.

W tej samej chwili ktoś zapukał do drzwi.

- To matka doktora O'Hallorana - wyjaśniła Emma. - Opowiemy jej, co chcemy zrobić. Jeśli jej się to spodoba, od razu weźmiemy się do pracy.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

W słuchawce zabrzmiał zdumiony głos matki:

- Ona zamierza zrobić u nas remont.
- Ma moje pozwolenie - odparł krótko Dev.

Był w trakcie zakładania pacjentowi gipsu, więc nie miał zbyt wiele czasu na rozmowy. Lecz matka milczała za długo.

- Mamo, jesteś tam?
- Tak... jestem. Ona chce robić remont - powtórzyła.

Dev westchnął. Gdzie się podziała ta tryskająca energią kobieta? Od śmierci ojca i Coreya stała się całkiem bezradna.

- Mamo, nie przejmuj się. Mam teraz pacjenta. Porozmawiamy wieczorem.
- Ale ona już chce zaczynać. Nie masz pojęcia...
- Nie życzysz sobie tego?
- Nie... tak... Niech będzie. Nie lubię tego domu.
- Tak ci się tylko wydaje - rzekł łagodniejszym tonem. - Jeśli nie chcesz, żeby

Emma cokolwiek ruszała, powiemy jej, żeby dała sobie spokój. Na pewno to zrozumie.

- To dobrze, że ona to ruszy. To bardzo dobrze, ale...
- Sama niczego nie dźwiga? - Oby nie wzięła się za przesuwanie mebli.

Można do tego kogoś wynająć. Ale czy w Karington jest taka firma?

Emma ani myślała o wynajmowaniu specjalistów.

- Powinieneś zobaczyć, jak to zorganizowała - ciągnęła matka. - Dev, nie wiem... nie rozumiem...

- Nie chcesz, żeby tam mieszkała?
- Tego nie powiedziałam. - Głos jej dziwnie zadrżał. Płacze czy się śmieje?

Dev dostrzegł niezadowolone spojrzenie pacjenta.

- Mamo, porozmawiamy wieczorem. Wpadnę do ciebie po pracy.

- Lepiej od razu jedź do siebie.

Trzy godziny później Dev z mieszanymi uczuciami wracał do domu.

Dochodziła siódma i zapadał zmierzch.

Może Emma już się położyła? I nie będzie musiał jej oglądać? Ale bardzo chciał ją zobaczyć.

Emma jest matką dziecka Coreya. Ta informacja obudziła w nim tak sprzeczne uczucia, że nie wiedział, jak sobie z nimi radzić. Corey. Emma. Dziecko Coreya.

Corey kochał Emmę.

Dlaczego nie? - rzucił w mrok. Jest wspaniała. Wiele wycierpiała. Jest odważna.

Ma w Anglii przyjaciela, Paula, i czeka, aż dziecko się urodzi, by wyjść za niego. Co z tego?

Więc dlaczego nie chcesz jej oglądać? I dlaczego tak mocno ściskasz kierownicę? Jesteś dorosłym mężczyzną, a Emma w pewnym sensie należy do rodziny. Za kilka miesięcy stąd wyjedzie. Nic więcej.

Zadzwoniła komórka.

- To ty, Dev? - zatrzeszczało w głośniku.

- Witaj, Margaret.

- Skończyłeś na dzisiaj?

- Mhm.

- Jedziesz do domu?

- Wypada. Emma u mnie mieszka. - W tej samej chwili przypomniały mu się obiekcje Emmy: czy Margaret będzie zachwycona, że razem mieszkają. Nadal uważał to pytanie za pozbawione sensu. Dlaczego Margaret miałyby mieć coś przeciwko temu? Czym miałyby się przejmować? - Wpadnij do nas - zaproponował.

- Zjemy razem kolację. - Emma ma Paula, on Margaret.

- Na pewno chcesz, żebym przyjechała?

- Oczywiście. - Powiedział to o wiele cieplej, niż zamierzał. Dlaczego?
- Dobrze, przyjadę. Na którą?
- Daj mi pół godziny.
- Przywiozę coś do jedzenia. I wino.
- Świetnie.

Był bardzo z siebie zadowolony: zorganizował sobie wsparcie. Teraz może spokojnie jechać do domu na spotkanie z Emmą.

Wyjechał zza ostatniego zakrętu i... zahamował. Emma nie poszła spać. Nikt nie spał. W całym domu było włączone światło i wszędzie krzatali się ludzie.

Patrzył oniemiały. Przed domem dostrzegł sześć albo nawet osiem aut, a weranda... weranda przeistoczyła się w magazyn mebli, które stały nawet na schodach.

Podjeżdżając bliżej, zorientował się, że ci ludzie to dzieci z autobusu oraz ich rodziny, a gdy już znalazł się na schodach werandy, podbiegł do niego ojciec Jemimy, by uścisnąć mu dłoń.

- Witam, doktorze. Nawet nie ma pan pojęcia, jak bezgraniczna jest nasza wdzięczność z powodu tego projektu. Kiedy zadzwoniła Katy, Jemima siedziała na łóżku i gapiła się w ścianę, ale kiedy usłyszała, o co chodzi, wróciła jej chęć do życia. Natychmiast kazała się tu przywieźć. Inne dzieciaki zareagowały dokładnie tak samo. Pracują jak pszczołki.

- Pracują?

- Od lunchu. - Ojciec Jemimy promieniał. - Pozwoliliśmy im pracować do szóstej, ale potem mamy przygotowały kolację... i teraz już je zabieramy. Nakarmione, zmęczone i szczęśliwe. Jestem przekonany, że dzisiaj po raz pierwszy od wypadku spokojnie prześpią noc. - Pochwycił na ręce ośmioletnią córeczkę. - Idziemy, panienko. Jeśli masz tu jutro być o dziesiątej, pora jechać do domu.

Praktycznie to samo usłyszał z ust rodziców kolejnych dzieci. Stał na schodach, a oni ściskali mu dłoń i dziękowali za coś, o czym nie miał zielonego pojęcia.

Nawet ojciec Kyle'a mu dziękował.

- Nie wiem, jak mam wyrazić, ile to dla nas znaczy - mówił, ocierając łzy. - Katy zadzwoniła do Sarah, a ona i Pete zdecydowali się bez chwili wahania. - Wskazał na dwójkę dzieci, które szły przed nim. - Myślę, że młodsze też tu przyjdą. To takie ważne... To, co dla nas robicie. - Zawahał się, po czym uścisnął dłoń Deva i odszedł.

Dev patrzył za nim z niedowierzaniem. Obserwował, jak kolejne samochody znikają w lesie. Gdy już nikogo nie było, zorientował się, że na werandzie stoi Emma.

Wyglądała na skruszoną.

- Co robiłaś?

- Organizowałam - odparła niepewnym tonem.

- Widzę. Czy możesz mi teraz łaskawie wyjaśnić, co organizowałaś?

- Twój dom. I ogród. Ale to przerosło moje oczekiwania. - Uśmiechnęła się przeprasząco. Wyglądała jak skarcone dziecko. - Chcemy upamiętnić Coreya i Kyle'a.

- Upamiętnić Coreya i Kyle'a?

- Właśnie tak.

- W moim domu?

- Wiem, że jestem ci winna wyjaśnienie. Od tego powinnam zacząć. Ale kiedy twoja matka wyraziła zgodę, Katy tak się zapaliła, że zaczęła dzwonić do wszystkich dzieci z wypadku. I nagle wszyscy się tu zjechali. Byli tak pełni entuzjazmu, że nie miałam serca mówić im, że musimy poczekać.

- Z czym? - Ogarnęły go jak najgorsze przecucia.

- Powiedziałaś...

- Powiedz mi, co robicie? - Ciągłe stał na schodach, spoglądając na Emmę. Wyglądała... oszałamiająco. W ciężowej sukience pożyczonej przez Madge, bosy, z włosami związanymi wstążką.

- Hm... starsze wycinają bugenwillę z okien - mówiła kompletnie nieświadoma jego zauroczenia. - Z pomocą ojców. Ja i młodsze dzieci wynosiliśmy meble, żeby przygotować pokoje do malowania. Wiem, że pozbyliście się mnóstwa mebli, ale zostało ich całkiem sporo. Ale nie tknęliśmy twojej sypialni - zapewniła go pośpiesznie. - Uzналиśmy, że twój pokój jest nietykalny.

- Serdeczne dzięki.

- Drobiazg - odparła bez zająknięcia.

- Uważasz, że to jest zabawne?

- Tak. - W jej piwnych oczach igrały wesołe ogniki. - Tak uważam. A ty nie?

- Nie wiem. - Był wyraźnie speszony. - Wywlekliście na werandę wszystkie meble i przycięliście bugenwillę. Macie zamiar pomalować pokoje. Co jeszcze?

- Mamy cały plan.

- To znaczy...?

- Zmienić tu wszystko tak, żeby było radośnie. Wewnątrz i na zewnątrz.

Twoja mama zdjęła wszystkie obrazy, ale na ścianach zostały po nich ohydne prostokątne ślady. To robi upiorne wrażenie, jakby przez nie miały tu wrócić wszystkie duchy. Z kolei w ogrodzie są przepiękne rośliny całkowicie przyduszone przez chwasty. Większość dzieci chce malować...

- Większość dzieci?

- Ten program jest otwarty dla wszystkich dzieci z autobusu - oznajmiła. - Dev, one mają dwa tygodnie wakacji i większość jest w głębokiej traumie. Źle im zrobi bezczynność. Muszą rozmawiać, żeby to z siebie wyrzucić.

Nabrał powietrza w płuca.

- Jakim prawem...?

- Dev, jestem pediatrą - tłumaczyła mu tonem przeznaczonym dla osobników o bardzo niskim ilorazie inteligencji. - Wiem, na czym polega dziecięca trauma. Nie jestem psychiatrą dziecięcym, ale zdaję sobie sprawę, jakie mogą być tego konsekwencje. W pracy codziennie stykam się z dziećmi po ciężkich przeżyciach.

Patrzył na nią oniemiały. Na małą, pękatą kobietkę ze wstążką we włosach, w ciężowej sukience w czerwono-białą kratkę. Wyglądała jak podniszczona paczuszka bożonarodzeniowa. Która zawieruszyła się rok wcześniej?

Czuł, że zanurza się w nierealnym świecie.

- Jesteś pediatrą - mruknął.

- Wiedziałeś, że jestem lekarzem. Myślałeś, że urologiem? Geriatrą? -

Uśmiechała się szeroko.

- Nie myślałem.

- Zauważyłam. Nie szkodzi. Ja myślę za ciebie. Jeśli wystarczy puszka farby i pędzel, to chyba możemy pomóc tym dzieciom, prawda?

- Dasz im pomalować cały dom?

- Przecież można pomalować go po raz drugi. - W jej głosie zabrzmiała nuta niepokoju. - Jak ci się nie będzie podobało, możesz to przemalować... Ale nie powiesz im, że to zrobiłeś. One kipią entuzjazmem. Nie chcę, żeby spotkało je rozczarowanie.

Patrzył na nią zirytowany.

- Drugie malowanie będzie kosztowało majątek - zauważył.

- To cię tak zmartwiło? Nawet tego nie poczujesz. Zapłacę.

Oprzytomniał.

- Jak to?

- Może wyglądam nie najlepiej, ale nie jestem ubogą krewną. - Rozłożyła ramiona w proszącym geście. - Dev, zdaję sobie sprawę, że się zagalopowałam, ale te dzieciaki bardzo tego potrzebują. Tobie na tym domu nie zależy, a ja utknę tu na jakiś czas... Proszę, zgódź się. - Gdy nie odpowiadał, bo nie potrafił znaleźć słów,



podjęła wątek. - Dev, rodzice zostawili mi fortunę. Stać mnie na generalny remont tego domu i bardzo mi na tym zależy. Pozwól mi.

- Ale za dwa miesiące...

- Jak urodzę, wyjadę - obiecała. - Oczywiście, że wyjadę. Nie będziesz na mnie dożywotnio skazany. I jeśli zrobię tu coś, co ci się nie spodoba, naprawię to na swój koszt. Ale na razie nie pozbawiaj nas tej przyjemności.

Przyjemność. Co to znaczy? Kiedy po raz ostatni ten dom kojarzył mu się z czymś przyjemnym? Śmierć ojca i brata odebrały mu radość życia. Czuł potworny ciężar odpowiedzialności. Gdyby mógł cofnąć czas...

- Chodź na kolację. - Te słowa wyrwały go z zadumy.

- Przyjedzie Margaret - odparł niemal wyzywającym tonem, a ona się uśmiechnęła.

- Świetnie. Im nas więcej, tym weselej. Mamy sterty jedzenia.

- Margaret przywiezie kolację.

- Niepotrzebnie. - Weszła do domu, a on za nią.

- Chodź zobaczyć, jak dobrze jesteśmy zaopatrzeni.

Miała rację. Okazało się, że chyba każdy rodzic przywiózł coś do jedzenia.

Dev z trudem rozpoznał swoją kuchnię. Zniknął gdzieś jego laminowany stół, a jego miejsce zajęły dwa okazałe stoły na kobyłkach, zniszczone i pochłapane farbami. Jednak nie służyły do pracy. Uginały się pod ciężarem talerzy i tacek zjedzeniem. Były tam ciasta i ciasteczka, chipsy, orzeszki, lizaki i nie wiadomo, co jeszcze.

- Te stoły przywiózł tata Mary - poinformowała go.

- Fantastyczne, prawda? Mamy też drabiny i niezliczone pędzle. A to jedzenie...

- Jedzenie - powtórzył tępo. Czuł się jak krety.

- To, co mogło się zepsuć, włożyłam do lodówki.

- Była wyraźnie rozbawiona jego zmieszaniem. - Parówki, paszteciki, co tylko chcesz.

- Nic nie rozumiem - bąknął. - Dlaczego to zrobiłaś?

- To proste. - Stali po dwóch końcach stołu. - Te dzieci doznały takiego wstrząsu, że siedziały w domu prawie jak skamieniałe. Katy zadzwoniła do nich i zaproponowała zajęcie. Powiedziała, że to dla upamiętnienia Kyle'a. Również ich rodzice są w szoku. Oni potrzebują tego tak samo jak te maluchy. To jest praca na rzecz całej społeczności. Remont domu pana doktora.

- Ale ty to zorganizowałaś. Ty tym kierujesz. Zamierzasz doprowadzić to do samego końca?

- Mamy na to całe ferie. A zanim zaczną się lekcje, wszyscy pojedziemy do parku rozrywki, żeby z fasonem pożegnać Kyle'a - mówiła z powagą i przekonaniem. - Dev, ja naprawdę wierzę, że to im pomoże. Gdybyś do nas dołączył... tobie też by pomogło.

Oprzytomniał. O czym ona mówi?

- Ja nie potrzebuję pomocy.

- Nie byłabym tego taka pewna, a nawet śmiem twierdzić, że bardzo by ci się przydała. Nie potrafisz myśleć o Coreyu inaczej niż ze smutkiem. Oraz poczuciem winy. Sądzisz, że on by tego chciał? Tym dzieciom łatwiej będzie zaakceptować śmierć Kyle'a, a mnie... Robię to dla nich, ale i dla siebie. Dla Coreya. Byłby wściekły, gdyby zobaczył wasz rodzinny dom w tym stanie. I wcale by nie chciał, żebyście byli nieszczęśliwi.

- Nie jestem nieszczęśliwy.

- Nie?

- Emmo... - Rozłożył ręce. - Wiem, że masz dobre intencje, ale to nie twój interes.

- Corey był moim mężem. I to, jak jest wspomniany, także mnie obchodzi.

- Mówiłaś o mnie.

- Tak, bo sama nie wiem dlaczego, ale obchodzi mnie także to, co ty czujesz - oznajmiła, patrząc mu w oczy.

- Nie chcę, żeby cię to obchodziło.

- Nie? - Uśmiechnęła się, lecz tym razem mniej pewnie. - Może wiesz, co mówisz, ale jesteśmy skazani na swoje towarzystwo. - Podała mu talerz z kanapkami posypanymi kolorowymi groszkami z cukru. - Skosztuj.

- Mama powiedziała, że przywiozła mięso z warzywami - odparł sztywno.

- Owszem, jest mięso. Jak chcesz, możesz je zjeść, a jak nie, wstawię je do lodówki. Twoją mama jadła te kanapki razem ze wszystkimi.

- Mama jadła kanapki posypane kolorowymi groszkami?!

- A jakże. Mam wrażenie, że nawet jej smakowały. Tobie też mogą smakować. Wiesz, człowiek nie zdaje sobie sprawy, do czego jest zdolny, dopóki nie spróbuje.

- Chyba nie chcę próbować.

- W porządku - odrzekła beztrąsko, po czym sama sięgnęła po kolorową kanapkę. Spoglądał na nią z nieskrywanym obrzydzeniem. - Zamierzasz zostać tu do śmierci? - zapytała nagle.

- Nie. Tak. - Potrząsnął głową. Dlaczego poruszyła ten temat? Jakim prawem wtrąca się w jego sprawy?

Stała z głową przechyloną jak zaciekawiony wróbel. Czekwała, a on miał ochotę odwrócić się na pięcie i wyjść z kuchni.

Kolorowe kanapki wyglądały bardzo zachęcająco. Ale nie na początek. Mięso z warzywami? Nie.

- Mówiłaś, że są paszteciki... Uśmiechnęła się szeroko.

- Wiedziałam, że dasz się skusić. Kilka nawet podgrzałam. Docień, jaka jestem miła. - Ruszyła do piekarnika. - To są paszteciki od pani Kipling. Pyszne.

- Pyszne - powtórzył słabo. Zanurzył pasztecik w słoiku z keczupem, zjadł go, zastanowił się, sięgnął po drugi. To prawda... pyszne.

- Słucham? - zapytała przymilnie.
- Nic nie mówiłem.
- Pytałam, czy zamierzasz zostać tu na zawsze.
- Emmo...
- Dlaczego nie chcesz odpowiedzieć?

Nie było konkretnego powodu. Po prostu nie miał ochoty przed nią... się obnażać. Miał wrażenie, że rozmawiając z nią na niektóre tematy, do pewnych spraw musi przyznawać się sam przed sobą. Nie potrafił powiedzieć Emmie nieprawdy. Nie rozumiał, dlaczego tak się dzieje, ale czuł wówczas, że przemawia do tej części siebie, którą dawno temu zablokował. Nie miał ochoty jej odkrywać.

- Nie wiem - odparł.
- Chcesz tu zostać?
- W Stanach pracowało mi się rewelacyjnie.
- A tutaj? Czy praca tutaj jest tak samo rewelacyjna?
- Jestem potrzebny matce. Temu miasteczku również. A ściągnięcie innego lekarza do Karington jest praktycznie niemożliwe.
- To znaczy, że jesteś tutaj pod przymusem. To wyjaśnia stan tego domu.
- Nie jestem tutaj pod przymusem.
- Ale nie wyobrażasz sobie, że mógłbyś się cieszyć perspektywą pozostania tu na zawsze.

- „Na zawsze” to bardzo długo.

- Albo za krótko - zauważyła, zniżywszy głos. - Dla Kyle'a i Coreya „na zawsze” okazało się bardzo krótkie.

- Masz rację - uciał, starając się zamknąć tę rozmowę, lecz Emma nie dała się zbić z tropu.

- Więc jeśli zamierzasz zostać tu przez parę miesięcy - mówiła w zamyśleniu - to może spróbowałbyś się tym cieszyć?

Parę miesięcy? Raczej dwadzieścia albo trzydzieści lat.

- Nie umiem.
- Nie umiesz się cieszyć?!
- Słuchaj, to, że tobie w życiu się udało...
- Zaraz! - Rysy jej stężały. - Mnie się udało?
- Skoro uważasz, że życie jest zabawne...
- Wcale tak nie uważam.

Starał się zobaczyć ją taką, jaka jest naprawdę. Szalonego krasnała w czerwonym namiocie.

- Sprawiasz wrażenie osoby...
- Niepoważnej?
- Tak - mruknął zirytowany.

Podniosła do ust kanapkę, po czym ją odłożyła, jakby to, co miała do powiedzenia, nie dało się wyrazić między dwoma kęsami.

- Dev, mój ojciec zmarł na Alzheimera, kiedy miałam dziesięć lat. Wiesz, na czym polega ta choroba i zapewne domyślasz się, jakie miałam dzieciństwo. Po śmierci ojca matka się rozsypała, więc do dwudziestego szóstego roku życia opiekowałam się matką. Byłam jej jedyną podporą. - Starannie dobierała słowa, jakby mówienie o tym przychodziło jej z trudem, jakby nie miała ochoty zwierzać się z tego. - Przez te wszystkie lata każdy wieczór spędzałam z nią. Do jej śmierci nie mogłam z nikim się umówić. Potem byłam w żałobie, zagubiona. Więc pojechałam do Etiopii, gdzie wyszłam za mąż za człowieka z zespołem maniakalno-depresyjnym, który mnie zapłodnił, a potem popełnił samobójstwo. Życie usłane różami! - prychnęła.

Tak, głupio się odezwał, ale czuł neodpartą potrzebę... zniechęcenia jej? Obrzydzenia jej sobie?

- Powiedziałaś, że jesteś bogata. - Nic lepszego nie przyszło mu do głowy.
- I przez to jestem niepoważna?
- Jesz kanapki z groszkami.

Na te absurdalne zarzuty Emma wybuchnęła śmiechem. W tej kuchni dawno nikt tak się nie śmiał.

- Tak. Jestem winna! Objadam się kolorowymi groszkami, więc jestem niepoważna. Straże, wtrąć mnie do lochu!

- Poważnie mówiąc...

- Nie, nie będę poważna. - Jej śmiech ucichł nagle. - Dev, tyle razy byłam śmiertelnie poważna, że mi to wystarczy do śmierci. Będę niepoważna tak często, jak uznam to za stosowne. Od zaraz. Dołączysz do mnie?

- Ja...

- Boisz się?

- Nie - odrzekł po namyśle. - Nie boję się. Ale postawiłaś mnie przed faktem dokonanym.

- Wiem. - Spoważniała. - Nie mam prawa wprowadzać chaosu do twojego życia. W normalnych okolicznościach bym tego nie zrobiła. Mam do siebie pretensję, że ci się narzucam, mam do siebie żal, że nie przyjechałam wcześniej. Zaniedbałam kilka spraw i teraz staram się to nadrobić. Ty też powinieneś się tego nauczyć. Nie wolno ci zmarnować sobie życia z powodu poczucia winy.

- Jak śmiesz...

- Wyrzucasz sobie, że Corey nie chciał z tobą rozmawiać.

- Wypraszam...

- Przestań. - Nie pozwoliła mu dojść do słowa. - Ja też zaczęłam od nowa organizować sobie życie. Wiedziałam, że Corey jest chory, ale on nie chciał mnie widzieć. Wiesz co? Doszłam do wniosku, że ożenił się ze mną tylko dlatego, że akurat wtedy byłam słabsza od niego. Dowiódł mnie do Anglii, zapewnił opiekę medyczną, po czym mnie opuścił. Odrzucał wszystkie moje próby skontaktowania się z nim. Naprawdę wierzysz, że gdybyś wcześniej wiedział o jego chorobie, pozwoliby ci sobie pomóc?

- Miałbym jakąś szansę.

- Tak jak wasza matka. Jak ja. Dev, z całych sił próbowałam go zatrzymać. On jednak doskonale wiedział, co robi. Miał długie okresy, kiedy myślał bardzo trzeźwo, i dobrze się zastanowił nad tym wyborem. Mogło to się nam nie podobać, ale on miał prawo do samotności.

- Mogłam mu pomóc.

- Pod warunkiem, że on by tego chciał, tymczasem on odrzucał wszelką pomoc. Kropka. Zadręczanie się z tego powodu nikomu nie wyjdzie na dobre.

- Więc postanowiłaś zająć się sobą?

- Nie mam wyjścia. Mam tylko jedno życie. Choroba odebrała Coreyowi radość. Czy ma również zniszczyć mnie? Albo to dziecko? Całemu mojemu dzieciństwu towarzyszyły choroby i śmierć, więc nie dopuszczę, żeby moje dziecko rosnęło w podobnej atmosferze.

Podziwiał jej determinację.

- I dlatego będziesz jadła kolorowe groszki - jęknął.

- Tak. I jeśli mi pozwolisz, pomaluję twój salon na żółto.

- Nie mam tu nic do powiedzenia.

- Owszem, masz. Rozejrzyj się. Wystarczy jedno twoje słowo, a wszystko wróci na dawne miejsce. Wynieśliśmy meble z pokoi. Mamy drabiny i pędzle. Umyliśmy ściany. Zamówiliśmy nawet kilka kubłów farby. Nie ma ich tu, bo dostawę przełożyliśmy na jutro. Na dziesiątą. Zatem ostateczna decyzja należy do ciebie.

- Co się stanie, jeśli się nie zgodzę?

- Zadzwonię do dzieci i wszystko odwołam. I powiem twojej mamie, że nic z tego. Nie wiem, kto będzie bardziej rozczarowany.

- To jest szantaż.

- Tak - odrzekła pogodnie. - Pediatra przyłożył drugiemu lekarzowi do głowy pędzel z żółtą farbą, grożąc, że przyszłość będzie radosna. Już mówiłam, że zawiniłam. Dev, proszę cię, zgódź się.

Spojrzał na nią spode łba.

- Nie mam wyjścia.

- Zrzedzisz.

- Nie zrzedzę.

- Właśnie że zrzedzisz. I jesteś niewdzięczny. Pomożesz mi zawinąć w folię kanapki z groszkami? Przydadzą się jutro moim robotnikom.

- Twoim robotnikom?

- Dwadzieścioru dzieciom oraz ich rodzicom - wyjaśniła promiennie. -

Wypuściłam na wolność potwora. Wystarczy, że dasz nam zielone światło.

- Nie mam wyjścia.

- Masz. Możesz gderać albo się do nas przyłączyć i cieszyć razem z nami.

- Ty...

- Słucham? - zapytała niewinnym tonem.

Miał ochotę czymś w nią rzucić.

Czy na pewno? Ona jest... zagadką.

Nic o niej nie wiem, pomyślał. A jednak wiedział. Ma pieniądze. Jest pediatrą, i zdecydowała się pracować w krajach trzeciego świata. Wspierała umierających rodziców.

Jest wdową po Coreyu. To najbardziej nim wstrząsnęło. Ta myśl go nie opuszczała jak fragment brutalnej rzeczywistości. Ta kobieta jest jego szwagierką. Matką dziecka Coreya. Nie wolno mu...

Za oknem zamajaczyły światła nadjeżdżającego samochodu. Emma ledwie dostrzegalnie się przygarbiła, a na jej twarzy w miejsce rozbawienia pojawiło się zmęczenie. Co było maską? Co ona ukrywa? Co naprawdę czuje?

- Powinnaś już leżeć - zauważył szorstkim tonem.

- Tak, to prawda. To Margaret. Nie powinna mnie tu zastać.

- Emmo...



- Porozmawiamy rano. - Zawahała się. - Jeśli rzeczywiście nie chcesz, żebym to robiła, to mi powiedz.

- Oczywiście, że chcę.

Znieruchomiała.

- Naprawdę? - Spojrzała mu głęboko w oczy. - Dev, naprawdę?

- Naprawdę. - Odwzajemniła mu się pięknym uśmiechem. Może trochę zmęczonym. Trochę tragicznym. - Posprzątam tu - obiecał. - Idź już do łóżka.

- Dziękuję - szepnęła. Po czym, nim się zorientował, obeszła stół, wspięła się na palce i delikatnie pocałowała go w policzek. Jak szwagierka szwagra. - Dobranoc. Dziękuję. Śpij dobrze. - Pospiesznie wyszła z kuchni.

Stał zapatrzony w drzwi, bezwiednie dotykając policzka. Drugi pocałunek. Pocałunek, jakiego się nie zapomina?

Margaret i Dev siedzieli z butelką wina na schodkach.

- To może się udać - stwierdziła Margaret, wysłuchawszy jego opowieści o planach Emmy. - Nie przepadam wprawdzie za żółtym kolorem na ścianach, ale, Dev, naprawdę, ten dom wręcz błaga, żeby go odnowić. Jeśli te dzieciaki niczego nie zniszczą, odwalą kawał roboty, a my możemy potem wezwać ekipę z prawdziwego zdarzenia.

- Mhm - mruknął, po czym sięgnął po kieliszek i zapatrzył się w morze. Srebrzyste grzywy fal skrzyły się w blasku księżyca.

- To jest idealne miejsce - zauważyła półgłosem. - Dla całej wielkiej rodziny. Rodzina... Lepiej nie dumać nad tym zbyt długo, by nie zrodziły się różne niepotrzebne domysły.

- Margaret, czy ty mnie kochasz? - Idiotyczne pytanie. Z całkiem innej bajki. Po co je zadał?! I to akurat w tym momencie.

Jeśli do tej pory nie było żadnych wątpliwości co do natury ich związku, to właśnie teraz się ujawniły. Margaret szeroko otworzyła oczy.

- Oczywiście. Jak możesz...?

- Nigdy o tym nie rozmawialiśmy.
- Faktycznie, ale byłam przekonana...
- Że ja cię kocham?
- Myliłam się?

Przeniósł na nią wzrok.

- Nie wiem - wyznał. Postanowił jednak zdobyć się na szczerość. - Myślałem, że to będzie jak grom z jasnego nieba. Moi rodzice... do ostatnich swoich dni byli jak para gruchających gołąbków.

- Pamiętam. - W głosie Margaret zadźwięczała nuta przygany. - Na pogrzebie ojca twoja matka była nieprzytomna z rozpacz.

- Czy ty też byłabyś nieprzytomna z rozpacz na moim pogrzebie?
- Oczywiście - odparła. - Chociaż może bym tak nie szlochała.
- Nie szlochałabyś?
- Twoja matka płakała całkiem głośno.
- Tak, przypominam to sobie. Zwłaszcza gdy już wychodziliśmy z cmentarza.

A ty płakałabyś cicho?

- Ta rozmowa nie ma sensu.
- Odpowiedz na moje pytanie.

Popatrzyła na niego z wyrzutem.

- Ja bym tego nie robiła. Nie szlochałabym. Za to wcześniej postarałabym się, żebyś długo żył. A propos, nie jedz już więcej tego ciasta z kremem! Jego ofiarodawczyni używa wyłącznie śmietanki. Czterdziestopięcioprocentowej!

- Biała śmierć.
- Tak. - Margaret odsunęła paterę dalej od Deva. - Nie ma ciasta. A teraz,

wracając do kwestii kochania...

- Kwestia kochania...?
- Nie jestem romantyczką, ale to, co nas łączy, jest... szczególne.
- Masz na myśli przyjaźń?

- A co innego?
- Nie podniecam cię?
- Przestań się wygłupiać.
- Zadałem ci proste pytanie.
- Jeśli mam wyjść za męża, to tylko za ciebie - oznajmiła. - Jeśli o to ci chodzi.

Wydaje mi się... że i ty nie widzisz innej osoby, z którą chciałbyś się ożenić.

- Uważasz, że to stanowi podstawę małżeństwa.
- Ależ tak. - Uśmiechnęła się. - Dev, do czego zmierzasz? Chcesz mi się

oświadczyć?

- Nie wiem - odparł szczerze. - Margaret, nie wiem. Wydaje mi się, że ten szloch na cmentarzu jest bardzo istotny.

- Jeśli sobie tego życzysz, mogę szlochać - obiecała z uśmiechem.

Wstał, by przyjrzeć się jej w świetle księżyca. Margaret jest piękna. Szczupła, zadbana, ma idealną cerę i uśmiech jak z reklamy. Czy jest w niej coś, co może się nie podobać? Nie ma.

Dev, wystarczy jedno twoje słowo.

Lecz on milczał.

- Margaret... - Westchnął. - Mam za sobą cholernie wyczerpujący dzień.

- Wiem - zgodziła się skruszonym tonem. - Już jadę. Zostawiam cię z tym bałaganem. Mam nadzieję, że twoja sypialnia ocalała.

- Tak, jest nietknięta.

- Może na czas jej pobytu przeprowadzisz się do mnie?

- Myślę... że ona czuje się osamotniona. Owdowiała i jest w ciąży. Lepiej będzie, jak tu zostanę.

- Jak uważasz. - Nadstawiła policzek. - Do zobaczenia jutro w pracy. Jeśli tak bardzo ci na tym zależy, będę ćwiczyła szlochanie.

Jest sam na werandzie.

Emma słyszała, jak odjeżdża samochód Margaret, a potem jak Dev wraca na schody werandy. Później zapanowała absolutna cisza. Jest sam na werandzie. Marzyła, by z nim tam być. Wręcz czuła, jak coś ją tam ciągnie.

- Uspokój się - fuknęła. - Kochałaś Coreya, a on jest taki sam. Ale inny.

- Bo to jest Dev.

- Wychodzisz za Paula.

- Jeszcze nie wiesz, czy wychodzisz za Paula.

- Ale wiesz na pewno, że Dev żeni się z Margaret. - Rozmawiała sama z sobą, udzielając sobie reprimend lub pochwał jak wtedy, kiedy była małą samotną dziewczynką.

- To nie jest takie na pewno. Może wcale z nią się nie ożeni.

- Aha, to znaczy, że odkocha się w Margaret, a zakocha w ciężarnej wdowie po swoim ukochanym bracie.

- Co ty wygadujesz?! Chcesz, żeby tak się stało?

- N-nie.

- Emmo, jesteś żalosna.

- Wiem.

- Lepiej już zaśnij.

- Nie mogę.

- Wobec tego zadzwoń do Paula.

- Nie chcę.

- To co zamierzasz zrobić?

- Będę leżeć i nasłuchiwać, co robi Dev. Niedługo...

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Dom Deva znalazł się w oku cyklonu. Wszędzie krzątały się dzieci, dorośli, wszędzie było pełno farb i jedzenia. Emma zachęcała maluchy, pomagała im, przeszkadzała, nastawiała muzykę jak najgłośniej, a one biegały upaprane farbami lub wypełzały spod gigantycznych stert wyrwanych chwastów. Między jednym zajęciem a drugim zbiegały do zatoczki, by się wykapać, a za nimi rodzice w charakterze ratowników.

Matka Deva przemieszczała się w tym chaosie tak zafrasowana, że Dev poczuł, że po raz pierwszy od śmierci Coreya wynurzyła się z tragedii ku życiu.

Obserwował, jak matka spogląda na brzuch Emmy. Czeka na swojego pierwszego wnuka. Dziecko Coreya.

Czy życie to to samo co... Emma?

Była wszędzie, gdzie nie spojrzął, o czym nie pomyślał. W głowie kłębiły mu się najbardziej szalone myśli. Absolutnie bezpodstawne. Zmuszał się, by je ignorować. Dzięki Bogu musiał koncentrować się na medycynie, więc nie mógł być tam gdzie ona. Dzięki Bogu?

Nie, nie. Chciał tam być. To jasne. Musi jednak myśleć o sobie. O drodze, którą wybrał. Fakt, że taka beczułka energii zmobilizowała całe miasteczko, zajęła jego dom, zawładnęła jego życiem...

Nie wolno dopuścić, by za jej sprawą cokolwiek się zmieniło. Każdego wieczoru, między wizytami domowymi, wpadał do domu po krótki raport na temat postępów prac oraz po to, by zaakceptować kolejne propozycje. Zabierało mu to dziesięć minut. Potem jechał do pacjentów lub do szpitala, albo składał wizytę Margaret.

Wracał do siebie dopiero, gdy był pewny, że Emma już śpi. Rano wyjeżdżał, zanim się obudziła.

Uważał, że oboje wiedzą, dlaczego nie bywa w domu. Sam nie miał w tej kwestii najmniejszych wątpliwości. Być może Emma się tego domyśla. Albo już się domyśliła. Z drugiej strony, może takie zachowanie jest absurdalne?

Tymczasem jego dom zmieniał się z dnia na dzień.

- Idzie nam jak z płatka - oznajmiła Emma tydzień później, a on mógł jej tylko przytaknąć. Pracowały nie tylko dzieci. Całe miasteczko potraktowało to przedsięwzięcie tak, jakby był to jedyny sposób, by zapobiec zbiorowej dezintegracji.

Szkolny autobus o mało nie spadł do morza, a wtedy zginęłyby wszystkie te dzieci. Ludziom wystarczyło popatrzeć na rodziców Kyle'a, by pojęli, jak sami byli blisko takiej tragedii.

- Należałoby zrobić coś dla rodziców Kyle'a - zauważył Dev któregoś dnia, lecz ona pokręciła głową.

- To byłoby zbyt nachalne. Im również wyjdzie na zdrowie udział w tej inicjatywie. Czy wiesz, że wszyscy cię tu uwielbiają?

- Wiem, i to aż za dobrze.

- I to cię przeraża - zauważyła życzliwym tonem, a on poczuł, jak żołądek skręca mu się ze złości. Albo z innego powodu. Energicznym gestem sięgnął po torbę.

- Muszę jechać do pacjenta - rzucił szorstkim tonem.

- Normalnie nie pracujesz przez osiemnaście godzin. - Stali w odmalowanej, wysprzątanej, pachnącej świeżością kuchni. Była siódma, a on już wysłuchał codziennego raportu. Pora zwiewać. Ale przed czym?

- Owszem, pracuję.

- Kłamczuch. Rozmawiałam z Margaret. Twierdzi, że harujesz jak wół.

Zawsze jesteś zajęty, ale nie aż tak.

- Co ona może wiedzieć? Ciągle zbieram żniwo tego wypadku.

Uniosła wysoko brwi.

- Do kogo teraz jedziesz?

- Do Craiga Hammonda.
- Coś pilnego? - Przechyliła głowę. - Jak bardzo to jest pilne?
- Pan Hammond miał zapalenie płuc. W czwartek wypisałem go ze szpitala.

Obiecałem, że do niego wpadnę.

- Zadzwoił do ciebie z informacją, że źle się czuje?
- Nie. - Patrzył na nią spode łba.

Na nic. Emma była jak natrętny komar, niezależnie od tego, jak szybko wymachuje się rękami.

- Postanowiłeś w sobotę wieczorem sprawdzić, czy aby nie umarł. On mieszka sam?

- Nie, ale...

- Ale co?

- Co cię to obchodzi?!

- Sama nie wiem - przyznała. - Po prostu staram się to zrozumieć. - Wytarła dłonie w ścierkę. - Mogę jechać z tobą?

- Nie.

- Dlaczego?

- Po co miałabyś ze mną jechać?

- Jestem lekarzem. Zatęskniłam do medycyny.

- Masz odpoczywać. - Popatrzył z dezaprobatą na jej brudne dłonie, koncentrując się na roli lekarza. - Nie wolno ci malować.

- Maluję tylko framugi, tam gdzie trzeba to zrobić bardzo starannie. - Wskazała na najbliższe okno. - Prawda, że ładnie mi wyszło?

- Ładnie, ale...

Nie dała mu dokończyć.

- Ale jeśli natychmiast stąd nie wyjedziesz, to się we mnie zakochasz - powiedziała.

- Słucham?

- I będzie ci to ciążyło tak samo jak sympatia wszystkich twoich pacjentów. Boisz się i dlatego tak uciekasz. - Rzuciła mu zatroskane spojrzenie. - Mnie się boisz, prawda, Dev? Boisz się zaangażować.

- Nie tego się boję. Jesteś żoną Coreya.

- Corey nie żyje.

Zapadło nieprzyjemne milczenie. Oni tymczasem spoglądali na siebie przez stół. Ona wyzywająco, on z zachwytem.

- Co sugerujesz? - zapytał w końcu.

- Nie wiem. Kiedy na ciebie popatrzyłam, przyszło mi do głowy, że się mnie boisz.

- Dlaczego miałbym się ciebie bać?

- Z powodu tego, co do siebie czujemy.

- Ja nic...

- Dev, nie udawaj - mówiła znużonym tonem, na chwilę spuszczając oczy, bo nagle musiała przerwać ten kontakt. - Oboje wiemy, co czujemy. Że chcielibyśmy sobie paść w ramiona.

- Skąd ten...?

- Hej, nie proponuję ci romansu! Nie rób takiej przerażonej i oburzonej miny!

- Nie jestem przerażony ani oburzony.

- Jesteś. Jakbym zaraz miała się na ciebie rzucić.

- Na jej wargach igrał wymuszony uśmiech. - Jak bym śmiała? Nigdy w życiu.

- Popatrzyła na swój brzuch i się skrzywiła. - Rozgniotłabym cię.

- Ale...

- Nie chodzi mi o ciebie i o mnie - powiedziała cicho, już bez uśmiechu. - To jest coś ważniejszego. Twoja niechęć do angażowania się. To przez Coreya, prawda? On nie żyje, ale cię hamuje. Czujesz się taki odpowiedzialny, że nie możesz sobie na nic pozwolić.



- Zawahała się, po czym najwyraźniej uznała, że teraz musi już brnąć dalej. - Dev, nie musisz tkwić w tym miasteczku. Możesz wyjechać.

Popatrzył na nią z otwartymi ustami.

- O czym ty mówisz?

- Słyszałeś. O tym, że nie musisz tu tkwić do samej śmierci jak męczennik. W każdej chwili możesz stąd wyjechać.

- Chyba żartujesz! A matka?

- Przeżyje, nie martw się. Może nawet poleci odwiedzić cię w Stanach.

- Nie robi tego.

- To nie jest wykluczone.

- A pacjenci? - Teraz był zły. Jak ona śmie mówić mu, że może stąd wyjechać?! - Oni mnie potrzebują.

- Znajdzie się ktoś inny na twoje miejsce. Może to okazać się łatwiejsze, niż myślisz.

- Bzdura. Nie ma lekarzy chętnych do pracy w takiej dziurze.

- Może ja bym się na to zdecydowała? Dech mu zaparło. Nie wiedział, co powiedzieć.

- Jak to?

- Mogłabym tu osiąść. Na zawsze. A gdybym się zdecydowała, ty mógłbyś wyjechać do tych swoich ukochanych Stanów.

Nie dowierzał własnym uszom.

- Emmo... co ty wygadujesz?

- To proste. - Opadła na krzesło, po czym naląła sobie lemoniady. Pila powoli, sponad brzegu szklanki szacując go wzrokiem.

- Co jest takie proste? - spytał zirytowanym tonem.

- To, żebym przejęła twoje brzemię odpowiedzialności. - Widząc brak zrozumienia w jego oczach, pospieszyła z wyjaśnieniem. - Dev, wróciłeś tu z powodu rodzinnej tragedii. Ojciec umarł, Corey umarł, matka została sama. Miasteczko

potrzebowało lekarza, a matka ciebie. Więc zostałeś. I uważasz, że nie ma stąd odwrotu. Nęka cię duch Coreya, ale nie umiesz uwolnić się od niego. Za to ja... myślę, że lubię ducha Coreya.

- Co to znaczy?

- Corey był dobrym człowiekiem. Uratował mi życie. Dał mi dziecko. Ja nie mogłam go uratować, ale do grobowej deski będę mu wdzięczna. Przyszło mi na myśl, że jednym ze sposobów spłacenia tego długu będzie pomoc jego rodzinie.

Ta rozmowa schodzi na coraz bardziej absurdalne tory.

- Nie trzeba mi pomagać.

- A ja myślę, że trzeba. - Odstawiła szklanekę. Z powątpiewaniem popatrzyła na niego, wstała od stołu, po czym podeszła do niego. Stali twarzą w twarz.

Zdecydowanie za blisko, pomyślał.

- Dev, chcesz wrócić do Stanów. Twoja praca jest dla ciebie bardzo ważna. I możesz wyjechać. Jeśli tu zostanę... Twoja matka jest fantastyczna. Myślę, że gdybym ją poprosiła, błyskawicznie wprowadziłaby się tu z powrotem, żeby mi pomagać w wychowywaniu wnuka. Zostanę tutejszym lekarzem. W ten sposób twoja matka nadal będzie miała rodzinę, a ty będziesz wolny. Możesz ożenić się z Margaret. Możesz robić, co ci się żywnie podoba. Ja zajmę się duchami i będę je bezgranicznie kochać. One nie wyrządzą mi krzywdy.

Patrzył na nią oniemiały.

- Chyba żartujesz - szepnął.

- Podejrzewasz, że odważyłabym się żartować w tak poważnych sprawach?

- A Paul?

Odwróciła wzrok, ale trwało to bardzo krótko.

- Sądzę, że oboje zdajemy sobie sprawę, że nic z tego nie będzie. - Ważyła słowa. - Przez cały ten tydzień zastanawiałam się nad tym. Wczoraj... powiedziałam mu, że za niego nie wyjdę. Oboje wiemy, dlaczego.

Zakreśliło mu się w głowie.

- Z powodu Coreya?

- Nie udawaj durnia, Dev. Trzy lata temu wydawało mi się, że kocham Coreya, ale byłam wtedy taka chora, że nie wiedziałam, co robię. Straciłam go na dwa lata, a potem zobaczyłam go raz, siedem miesięcy temu. Ocalił mi życie i dał mi dziecko. Nie o Coreya tu chodzi.

- Więc o co?

Rozłożyła ręce w bezradnym geście.

- Dev, nie wiem. Nie mam pojęcia, dlaczego czuję to, co czuję. To jest zupełnie nie na miejscu, a ty sobie tego nie życzysz. Rozumiem to. Nie chcę być kolejną przyczyną twoich wyrzutów sumienia, nowym ciężarem. Nie powinnam była o tym mówić, ale sam zapytałeś o Paula, więc ci odpowiedziałam. Teraz już wiesz. Co? Nie miał zielonego pojęcia, co powinien wiedzieć. Psiakrew. Dlaczego ona na niego tak patrzy? Wystarczy, że skieruje na niego wzrok... Trzeba uciekać jak najszybciej.

- Emmo, to jest nerwica przedporodowa albo coś w tym rodzaju. - Powoli przesuwał się w stronę drzwi, jak człowiek trzymany na muszce, a ona nie odrywała wzroku od jego twarzy.

- To nie jest żadna nerwica przedporodowa i doskonale o tym wiesz.

- Muszę już iść.

- Oczywiście. - Nawet się uśmiechnęła. - Mam nadzieję, że pan Hammond się ucieszy, że przerwiesz mu oglądanie sobotniego filmu, zjawiając się z lekarską wizytą.

- To jest nieodzowne.

- Czyżby? - Uniosła wysoko brwi. - Spotkałam go w szpitalu. Jego zapalenie płuc nie było bardzo ciężkie i po antybiotykach szybko ustąpiło. Ma wystarczająco dużo sił, żeby w razie pogorszenia podnieść słuchawkę. Ale jemu się nie pogorszy. Więc dlaczego tak pędzisz, Dev?

- Wcale nie pędzę.

- Jutro jest niedziela. Mamy wielkie plany. Wszyscy, dzieci i dorośli, nie posiadaliby się z radości, gdybyś się zjawił i nam pomógł.

- Nie mogę.

- Jasne, masz tyle obowiązków.

- Emmo...

- Wiem, wiem. To nie moja sprawa. - Westchnęła. - Słusznie. W ogóle cię nie obchodzę. Po co miałbyś się interesować ciężarną szwagierką? To tylko moja wyobraźnia... to, co między nami iskrzy. Jednak z tego powodu zerwałam z Pauliem. Zrozumiałam, że jeśli nie mogę mieć tego, co najlepsze, to byle co też mnie nie zadowoli. Na razie jednak... Dev, to jest poważna propozycja. Jestem na tym świecie sama jak palec. Zdażyłam zakochać się w tym miejscu i polubić twoją matkę, a ona już kocha swojego wnuka. Więc jeśli naprawdę chcesz wrócić do Stanów...

- Chcę. Chciałbym.

- No widzisz. To jest idealne rozwiązanie.

- Tak po prostu?

- Tak po prostu.

Patrzyła na niego ze stoickim spokojem.

- Jutro rano zmienisz zdanie.

- Może zmienię. - Przytaknęła. - Nigdy nic nie wiadomo. Nie sądzisz, że już teraz należałoby podpisać ze mną kontrakt?

- Nie!

- Wolisz jechać do pacjenta. Ale wrócisz i jutro pomożesz dzieciom? - W jej głosie dźwięczała błagalna nuta. - One będą zachwycone.

- Muszę...

- Dev, zbierze się tu całe miasteczko. Mamy przygotowywać barbecue na plaży. Będzie bardzo przyjemnie.

- Życie nie polega na przyjemnościach.

Uśmiechnęła się, jakby powiedział coś, co zupełnie nie ma sensu.

- Mylisz się. Pleciesz nonsensy. W dzieciństwie nie zaznałam wielu przyjemności. Los mnie nie oszczędzał, ale nie zamierzam się poddawać. Teraz biorę z życia, ile się da. I dlatego złożyłam ci tę propozycję. Uważam, że będzie mi tu jak w raju. Nawet jeśli się nie zgodzimy co do tego... co jest między nami, twoje duchy i ja zamierzamy dobrze się bawić. Z tobą lub bez ciebie.

Coś ty narobiła?!

Leżała w łóżku wpatrzona w promienie księżyca pełzające po suficie i zasłuchana w szum oceanu.

Nie ma lepszego miejsca na wychowywanie dziecka. Tutaj jest jak w prawdziwym domu. Takie uczucie ogarnęło ją po raz pierwszy w życiu. Ile z tego należy przypisać zauroczeniu Devem? Trudne pytanie.

- Nie powinnaś była niczego mu mówić - szepnęła.

- Musisz tak afiszować się ze swoimi uczuciami? Praktycznie wyznałaś, że go kochasz.

- Bo to prawda.

- Wydaje ci się, że go kochasz.

- Zakochałam się w uśmiechu Coreya. Tyle wiem. Tyle wtedy widziałam.

Oraz w jego dobroci. Byłam bardzo chora. Dev... ma ten sam uśmiech, jest tak samo dobry, ale ma jeszcze mnóstwo innych zalet.

- Jakie konkretnie?

- Nie wiem.

Dobrze, że jeszcze nie wrócił. Że zajmował się pacjentami, czy tego chcieli, czy nie, albo bawił się z Margaret...

- Nie wiem, dlaczego w nim się zakochałam - łkała.

- Moje życie było takie uładzone. Miałam Paula, takiego sympatycznego, który cierpliwie czekał tyle lat, aż się pojawię... a tu wystarczyło mi spojrzeć Devowi w oczy, żebym wiedziała, że nie z Paulem będę iść przez życie.

- Romantyczne brednie.

- Możliwe. Może Dev jest na tyle rozsądny, że to widzi. Pojechał do Margaret. Ale to, co się tu dzieje, utwierdza mnie w przekonaniu, że dobrze robię. Chcę tu zostać. Chcę tu wychowywać dziecko Coreya.

- Z Devem.

- Bez Deva. On wyjedzie. Dałaś mu pretekst. Niech wyjeżdża do Ameryki, jak tylko będziesz mogła przejąć jego zawodowe obowiązki.

- Łudzisz się, że nie wyjedzie.

- To nieistotne. Moje nadzieje są... bez sensu. - Podciągnęła prześcieradło pod brodę. - Może przyśni mi się coś dobrego. - Zacisnęła powieki. - Teraz śnijmy. Śnijmy na potęgę. Ale, na Boga, zapamiętaj ten sen, żebyś mogła go zrealizować na jawie.

Wbrew jej podejrzaniom Dev nie był u Margaret. Ani nie przeszkadzał pacjentom w oglądaniu telewizji.

Wyjechał za bramę, skręcił, zatrzymał samochód i wysiadł, po czym zszedł na plażę.

Przysiadł na skalistym cyplu i zapatrzył się w fale. Podobnie jak Emma podjął rozmowę z samym sobą.

- Możesz wyjechać.

- Tak?

- Tak. Tego chcesz. Możesz podjąć to, co przerwałeś. Emma daje ci tę możliwość.

- Wolałbym...

- Co? Zostać w Karington?

- Sporo się zmieniło.

- Na przykład co? - zwrócił się do krabów pożywiających się tym, co pozostawiły fale odpływu.

- Nie wiem.

- Wiesz. Wszystko się zmieniło. Emma wszystko zmieniła.

- Emma należy do Coreya.

- Corey nie żyje.

- Więc to zaakceptuj. Żyj. Emma zaproponowała ci rozwiązanie. To, co czujesz do niej... ma związek z twoimi uczuciami wobec brata. Pragnąłbyś jej, gdyby nie była wdową po Coreyu?

- Przyznajesz się, że jej pragniesz?

- Nie. Tak! - Rzucił wściekłe spojrzenie sporemu krabowi, który znieruchomiał, by zerknąć na niego nieprzychylnie.

- Jak wygląda twoje życie erotyczne? - Krab zawahał się, po czym wrócił do kolacji.

- Mam zacząć żyć? Przyjąć jej propozycję?

- Nareszcie przemawia przez ciebie rozsądek. Zabierzesz ze sobą Margaret, pomyślał. Ona też tu się dusi. Skończyła szkołę pielęgniarstwa w Brisbane, ale wróciła, by zająć się schorowanymi rodzicami. Jej ojciec zmarł dwa lata wcześniej, matka miesiąc temu. Jest wolna. Tkwi tutaj tylko przez wzgląd na ciebie. Cholera. Tego nie chciał.

- Więc czego chcesz?

- Proste życie. Bez żadnych komplikacji.

- Nie chcesz Emmy?

- Nie! - krzyknął tak głośno, że przerażony krab umknął pod kamień. -

Przepraszam, stary - mruknął Dev.

Wstał i przegarnął palcami włosy, jakby chciał zaprowadzić porządek w myślach.

- Przenocuję u mamy.

- Świetnie. A jutro?

- Dzisiaj będę spał u mamy, a jutro pojedę na ten cholerny spęd. Na chwilę.

- A potem?

- Kto wie? Ja nie wiem. Żałuję, że ona tu przyjechała.

- Czyżby?

- Nie mam pojęcia, co dalej. Nie mam zielonego pojęcia.

## **ROZDZIAŁ ÓSMY**

Na pewno nocował u Margaret.

Emma spała bardzo lekko i była przekonana, że usłyszałaby jego auto. Wstała o świcie, po czym pół godziny spędziła na plaży, żeby nie patrzeć na puste miejsce przed domem, gdzie zazwyczaj parkował.

Przysiadła na kamieniu, by obserwować stadko baraszkujących delfinów.

Nocował u Margaret.

- Nie bądź głupia - mruknęła. - Nie masz powodu do płaczu. Znalazłaś się w najbardziej urokliwym zakątku pod słońcem, jesteś obiektem zainteresowania delfinów, a za godzinę rozpocznie się tu największy festyn na świecie.

Nocował u Margaret.

- Przestań marudzić - powiedziała na głos. - Dziękuj losowi za to, co masz. - Położyła dłoń na brzuchu. - Przestań chcieć tego, co nieosiągalne.

- Jak mam przestać? Nocował u Margaret.

Karetka z Colinem Jeffriesem przyjechała o dziesiątej. Powrotnym kursem miała zabrać Beryl Cootes, pacjentkę, której następnego dnia kardiochirurg w Brisbane miał wymienić zastawkę. Dev czekał. Czekał na Colina od bladego świtu, więc przyjazd karetki powitał z radością. Nareszcie czymś się zajmie i przestanie myśleć o czynie społecznym, który obejdzie się bez niego.

Poza tym bardzo lubił Colina. Nauczyciel owdowiał wiele lat temu, a jego córka jedynaczka wyszła za amerykańskiego żołnierza. Mimo to Colin nie sprawiał wrażenia człowieka, który cierpi z powodu samotności. Ten pogodny mężczyzna w średnim wieku był aktywny na niwie ochrony środowiska, a do tego uwielbiali go wszyscy uczniowie. On również był im bezgranicznie oddany.



Teraz, z taką blizną na twarzy, polubią go jeszcze bardziej, pomyślał Dev.

- Powiniennem nosić klapkę na oku i udawać pirata - oznajmił Colin. - Dev, puść mnie do domu. Mam dosyć szpitali.

- Nie puszczę, dopóki nie zdejmę ci szwów i nie będę miał pewności, że masz prawidłową krzepliwość krwi. - Nauczyciel od dwóch lat brał antykoagulanty, dlatego tak bardzo krwawił, gdy autobus zderzył się z ciężarówką. W szpitalu w Brisbane odstawiono je, a teraz należało wprowadzić je odnowa. - Nadal masz unieruchomione ramię, więc opatrunku na twarzy sam sobie nie zmienisz. Zostań u nas i pozwól, żebyśmy się tobą zaopiekowali. Masz szczęście, że nie skończyłeś jak prawdziwy pirat, bo gdyby ta rana była o centymetr dłuższa...

- Miałbym przechłapanie - mruknął Colin. - Powiedziano mi, że życie uratowała mi jakaś lekarka i jedna z moich uczennic. Katy?

- Owszem, Katy. - Dev wolał nie rozmawiać o „jakiejś lekarce”. - Katy była wtedy niezrównana.

- Podobno wszystkie dzieciaki biorą udział w jakimś przedsięwzięciu dla upamiętnienia Kyle'a. Szkoda, że mnie tam nie ma. I to wszystko wymyśliła ta lekarka?

- Ma na imię Emma.

- Tak słyszałem. Mieszka u ciebie?

- Mhm. Jest wdową po Coreyu. Ta blizna szybko zniknie. Teraz jest czerwona, ale będzie prawie niewidoczna.

Blizna nie budziła zainteresowania nauczyciela.

- Wdowa po Coreyu, powiadasz... - Poprawił się na szpitalnym łóżku. - Cholera. Wiedziałeś, że Corey się ożenił?

- Nie. Do wypadku. Poznałem ją dopiero, gdy o mało się o nią nie potknąłem. Była półprzytomna.

- Musiałeś niezle się zdziwić.

- Hm. Chyba tak.

- Sympatyczna?

Dev się zastanowił.

- Tak, bardzo. Dać ci coś przeciwbólowego?

- Za chwilę. Teraz muszę się bardzo skupić.

- Nie ma nad czym. Boli cię ramię?

- Tylko wtedy, kiedy się śmieję, a teraz jestem poważny. - Colin podjął pracę w szkole w Karington trzydzieści lat wcześniej. Uczył obu, Coreya i Deva. Wiedział wszystko o wszystkich, ale o tym nie wiedział. - Emma... - rzekł półgłosem. - Bardzo słabo ją pamiętam. Czy ona jest w ciąży?

- Tak. Colin, powinieneś odpocząć.

- To jest dziecko Coreya?

- Tak.

- Ale niespodzianka. Twoja matka pewnie szaleje ze szczęścia.

- Jest bardzo zadowolona.

- Ta Emma jest lekarzem?

- Tak.

Colin zmrużył oczy.

- Zostanie w Karington?

- Nie wiem.

- Sądysz, że to nie jest wykluczone?

- Twierdzi, że chciałaby tu osiąść - przyznał Dev niechętnie.

- Dev, to znaczy...

- Że mogę wyjechać. Wiem. Colin, daj mi przeczytać twoją kartę ze szpitala w Brisbane.

- Wiesz doskonale, co tam jest napisane. Wczoraj dostałem kolejną dawkę heparyny, więc za kilka dni krzepliwość wróci do normy. Poza tym jestem zdrowy jak ryba. Można mnie wypisać.

- Zostaniesz tutaj - oświadczył Dev. - Daj mi ją przeczytać do końca.

- Dev, dlaczego nie chcesz rozmawiać o tej Emmie?

- Bardzo chętnie porozmawiam o Emmie, ale ja tu pracuję...

- Naprawdę? - Colin popatrzył na swojego dawnego ucznia z pewnym zainteresowaniem. - Jest niedzielą rano. Kogo masz po mnie?

- Nikogo, ale...

- To znaczy, że jedziesz robić porządki razem z moimi dziećmi?

- Nie.

- Z powodu Emmy.

- Ona jest wdową po Coreyu - jęknął Dev.

- Proszę, proszę. Zakochałeś się w niej - orzekł Colin.

- Nie żartuj! - Dev gwałtownym ruchem odłożył dokumenty na stolik. - Jakim cudem mógłbym się zakochać we wdowie po Coreyu? A co z Margaret?

- Co z Margaret? - powtórzył jak echo Colin. - Podobno od paru lat jesteś w niej zakochany, ale ja tego nie zauważyłem. Lubicie się, to tak, ale to nie jest miłość.

- Colin, do diabła...

Nauczyciel lekko się uśmiechnął.

- Wynoś się stąd i jedź robić porządki w swoim ogrodzie.

- Daj mi spokój.

- Nie ma mowy - odrzekł wesoło Colin, uśmiechając się szeroko pomimo szwów. - No proszę. Bałem się, że do końca ferii przyjdzie mi wyć z nudów. A tu taka niespodzianka. Ani trochę nie jest nudno. Czy jesteś pewien, że nie mogę wstać i pojechać, żeby bliżej poznać tę Emmę?

- Na sto procent.

- Wobec tego jedź w moim imieniu. Napiszę listę dwudziestu pytań. Zbierzesz od dzieci odpowiedzi? Udawaj, że to jest praca domowa.

Dochodziło południe. Całe miasteczko krzątało się po posiadłości lekarza, która z godziny na godzinę zmieniała się nie do poznania.

- Jak skończymy, to będzie prawdziwy ogród botaniczny. - Ojciec Kyle'a, Graham Connor, przystanął obok Emmy. - Za każdym razem, kiedy będziemy tędy przejeżdżać, będziemy mogli powiedzieć, że to jest ogród Kyle'a.

- Oby tak było - szepnęła Lorna, która akurat roznosiła lemoniadę. - To jest również ogród Coreya. - Uśmiechnęła się łagodnie. - Jestem przekonana, że oni na nas patrzą.

- Duchy są wspaniałe - szepnęła Emma. - Spodoba im się tutaj. Czy jest lepsze miejsce do nawiedzania?

- Pomyśleliśmy sobie z małżonką, że można by tu ustawić ławeczkę z imieniem Kyle'a - odezwał się nieco skrepowany pan Connor. - Już za ogrodzeniem. Na cyplu. Stamtąd wszystko widać: ogród, zatoczkę i miejsce wypadku. Można by tam przysiąść... o każdej porze.

- To świetny pomysł! - ucieszyła się Lorna. - Postawię drugą ławeczkę, na drugim końcu zatoczki, dla Coreya.

- O tak - wyszeptala Emma. Pomysł matki Deva tak ją poruszył, że zapragnęła przez chwilę pobyć sama.

Ogród Kyle'a. Ogród Coreya. Ogród duchów.

- Proszę pani!!!

Wołała ją Jemima, która wraz z Katy malowała werandę.

- Proszę pani!!! Katy kazała mi panią przyprowadzić - wysapała dziewczynka. - Puszka farby spadła z barierki i uderzyła Katy i Katy upadła. Leży na ziemi i trzyma się za bok! I jest blada. I bardzo płacze.

Najpierw należy zająć się spokojnym dzieckiem, przypomniała sobie Emma, spiesząc w stronę werandy. Znalazła Katy pod krzakiem róży, zwiniętą w kłębek i pochlipującą.

- Dziecinko, już przy tobie jestem. Pamiętasz, że jestem doktorem? Gdzie cię boli?

- W b-boku. - Oddech Katy był bardzo płytki, co świadczyło, że ból jest nie do zniesienia.

Puls przyspieszony, nieregularny, nitkowaty. To wstrząs. Dlaczego?

- Co się stało? - Emma zwróciła się do Jemimy. - Ta puszka ją uderzyła? Czy to była duża puszka?

- Malutka. Stała na barierce i się zsunęła. Tylko ją dotknęła. Dobrze, że była zamknięta. Ale Katy od razu upadła i zaczęła... jęczeć. I mówiła, że jest jej niedobrze.

Emma delikatnie obmacywała brzuch Katy, nie spuszczać wzroku z jej twarzy, obserwując jej reakcje.

Pachwina w porządku. Lewa strona. Prawa. Ból. Potworny ból. Rozpoznanie było oczywiste. Sądząc po rozmiarach wstrząsu, krwotok wewnętrzny. Kraksa na szosie. Śledziona. Pęknięcie śledziony. Nic innego.

Na oczach Emmy Katy traciła przytomność.

- Jemima, biegnij do najbliższego dorosłego. - Emma starała się, by jej głos brzmiał jak najspokojniej.

- Powiedz, że potrzebny mi samochód. Niech ktoś zadzwoni do doktora O'Hallorana. I przynieś mi telefon.

Minutę później otoczył ją wianuszek zatroskanych rodziców.

- Czy ktoś już dzwoni do Deva? - Jak najostrożniej ułożyła Katy na boku, by ułatwić jej oddychanie. Psiakrew, dlaczego nie ma przy sobie torby lekarskiej?

- Czyj samochód stoi najbliżej?

- Mój - odparł ojciec Kyle'a.

- Proszę tu podjechać. Niech się pan nie przejmuję roślinami. Jak najbliżej.

Nie mamy czasu czekać na karetkę. Niech ktoś skontaktuje się z jej rodzicami.

- Dev na linii. - Ktoś podał jej komórkę. Emma chwyciła ją jedną ręką, palcami drugiej dotykała tętnicy szyjnej Katy, by kontrolować tętno.

- Chodzi o Katy - oznajmiła. - Tę, która nam tak pomagała na miejscu wypadku. Została uderzona puszką farby. Lekko. Ale zasłabła. Wygląda mi to na krwotok wewnętrzny. Wszystko wskazuje na pęknięcie śledziony.

Konsekwencja zderzenia autobusu i ciężarówki. Taki krwotok wewnętrzny może skończyć się zejściem śmiertelnym.

- Dev, gdzie jesteś?
- W szpitalu. Zrobimy jej tomografię...
- Nie ma na to czasu.
- Jest aż tak źle?
- Nawet gorzej.

Darzył Emmę ogromnym zaufaniem.

- Przywieź ją tu jak najszybciej, a ja przez ten czas przygotuję salę.

Znieczulisz ją?

- Nie masz anestezjologa?
- Nie.
- Oczywiście. - Oczywiście? Nie jesteś anestezjologiem, ale sobie poradzisz.

Prawdopodobnie.

- Jedźcie ostrożnie, ale się pośpieszcie. Czekam.

Przy wejściu do szpitala stała Margaret z przygotowanym zestawem do kroplówki oraz tlenem.

- Matt, ostrożnie - Emma zwróciła się do pielęgniarza, który prznosił Katy na łóżko na kółkach. W trakcie tego manewru dziewczynce spadły okulary. Nie czas je podnosić, pomyślała Emma. Katy była już nieprzytomna. - Plazma i krew! - zaordynowała Emma. Mimo że była w obszernej czerwonej sukni i czarnych kaloszach, Margaret traktowała ją z szacunkiem. Jak lekarza, mimo że jeszcze niedawno Emma była tu zaledwie pacjentką.

Gdy dojeżdżali do sali operacyjnej, Margaret, która w biegu mierzyła Katy ciśnienie, szepnęła:

- O Boże.

- Nawet o tym nie myśl! - ofuknęła ją Emma. Nie miała czasu się przebrać do operacji, więc przed salą operacyjną zdjęła przynajmniej kalosze. Została w samych skarpetach. Trudno. - Trzeba jak najszybciej zatrzymać krwotok.

Dev już był gotowy. Spodnad maski spoglądał na Emmę, jakby chciał dodać jej sił, jakby mówił: spokojnie, uda się nam.

- Emmo, nauczyliśmy się z tego samego podręcznika anestezjologii - odezwał się. - A ja poświęciłem połowę stażu chirurgii dziecięcej.

Gdy jakiś czas później Emma wspominała tę operację, myślała o niej z niedowierzaniem.

Dev pracował szybko i z niewiarygodną wprawą. Udało mu się uratować część uszkodzonego organu. Z czasem ta część przejmie wszystkie funkcje zdrowej śledziony. Pod koniec operacji ciśnienie krwi zaczęło się stopniowo podnosić.

- Boże, udało się! - szepnęła Margaret. Odpowiedziało jej milczenie. Bez okularów twarzyczka Katy wyglądała absurdalnie dziecinnie i bezbronne.

- Jak z tego wyjdzie, zafunduję jej szkła kontaktowe - oznajmiła Emma, na co David, pielęgniarz, parsknął śmiechem. Wymuszonym wprawdzie, lecz prawdziwym.

- Taka jest ta nasza Emma. Co byśmy bez niej zrobili? Bez pani doktor, która staje do operacji w czerwonym namiocie i skarpetach, zapisuje małym pacjentom szkła kontaktowe i zamawia żółtego miniaka!

- David usiłował rozładować atmosferę, ale bez większego skutku, ponieważ wszyscy w napięciu wpatrywali się w twarz dziewczynki. Straciła tyle krwi...

Czy doszło do uszkodzenia mózgu?

- Wybudzamy ją? - Gdy Dev zwrócił się do Emmy, napięcie w sali operacyjnej wzrosło tysiąckrotnie.

Podali jej środek znieczulający, gdy była nieprzytomna. Czy się obudzi?

Emma przytaknęła, po czym wzięła głęboki wdech.

- Zamówiłaś mini coopera? - zapytał Dev, a ona spojrzała na niego z przerażeniem, po czym znowu pochyliła się nad Katy.

- W wypożyczalni powiedziano mi, że jestem ryzykownym klientem - mówiła przez ściśnięte gardło. Muszą rozmawiać o czymś innym, żeby nie oszaleć.

- Ojciec Davida jest dilerem samochodów w Brisbane i to on mi go załatwił.

- Żółto-czarny mini dla naszej doktor Emmy przyjedzie w weekend - oświadczył pielęgniarz.

- Czy nasza doktor Emma zmieści się za kierownicą? - rzucił Dev, a wszyscy wybuchnęli sztucznym śmiechem. Za bardzo się starali.

Emma nie była w stanie się roześmiać. Wpatrywała się w twarz dziewczynki. Czując, że Dev z kolei ją obserwuje, podniosła na niego wzrok. Ujrzała tam...

To jest strach, pomyślała. Boi się o tę małą, ale i o mnie. Wie, że bardzo ją polubiłam. On ją kocha? Przez ułamek sekundy wyczytała w jego oczach prawdę, którą tak bardzo starał się ukryć.

Opuściła wzrok na Katy, lecz poczuła, że do oczu cisną się jej łzy. Nie wolno jej płakać. Nie tutaj. Nie teraz.

Nigdy.

- Katy, obudź się - szepnęła. - Doktor O'Halloran posklejał cię magicznym klejem. Doceń to. - Nie musiała podnosić głowy, by czuć, że Dev jest z nią całym sercem. Należy do niej. Jej Dev... - Katy, proszę cię...

Usłyszeli chrapliwe kaszlnięcie. To znaczy, że Katy zaczęła samodzielnie oddychać.

Emma drżącymi palcami usuwała rurkę intubacyjną, Dev tymczasem zakładał opatrunek. Robił to niemal automatycznie, nie odrywając wzroku od Emmy. Reszta obecnych wpatrywała się w Katy. Płynęły minuty.

Dziewczynka otworzyła oczy. Widzi? O Boże. Jeszcze trochę cierpliwości. Ona niezupełnie jest przytomna.



- Katy... - Emma nie wytrzymała. - Katy... Uderzyła cię w bok puszką farby. I miałas wewnętrzny krwotok. Przewieźliśmy cię do szpitala i pozszywaliśmy. Katy...

Brak reakcji. Boże, zmiłuj się nad nami. Coś jednak się zmieniało. Wzrok dziewczynki powoli przytomniał. Dostrzegła Emmę.

- Doktor Emma... - szepnęła ledwie słyszalnie. Może to tylko złudzenie? Nie, to nie złudzenie.

- Jestem tu, skarbie. - Emma ujęła jej dłoń. - Twoi rodzice też tu są. Czekali, aż się obudzisz.

- Jemima... Pomyślałyśmy z Jemimą, że Kyle'owi podobałaby się żółta weranda - wyszeptała. - Niech pani jej powie, żeby nie malowała beze mnie.

Opuściła powieki i zapadła w sen.

## ***ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY***

Katy żyje. To cud, ale żyje. Jej organizm wprawdzie będzie jeszcze jakiś czas dochodził do siebie, ale dziewczynka żyje. Kilka godzin później znowu się obudziła i ktoś słyszał nawet, że pocieszała swoich zapłakanych rodziców.

Zaraz po zabiegu, upewniwszy się, że pacjentka oddycha normalnie i odzyskała przytomność, Emma powlokła się do szatni nieopodal sali operacyjnej i ciężko opadła na fotel. Zapobiegła tragedii.

- I co z tego? - mruknęła, starając się opanować drżenie rąk. - Przecież tego cię uczyli. I nieraz to robiłaś.

Tak, ale tym razem to co innego. Tym razem szło o małą Katy. To znaczy, myślała, tępo wpatrując się w linoleum, że się z nimi identyfikuje, że tutaj jest moje miejsce. Przyjechałam tu, by poznać rodzinę Coreya. I się zakochałam. W ludziach z tego miasteczka.

W Devie O'Halloranie.

Co było pierwsze? Kto to wie? Sama wiedziała tylko tyle, że przez całe życie nie miała korzeni, że dryfowała bez większego celu, teraz zaś ogarnęło ją przemożne wrażenie przynależenia do tej niewielkiej społeczności. Jej lęk o Katy wynikał z obawy, że zginie mała częśćka wspólnoty, którą pokochała. Miałyby stąd wyjechać?

Ten tok myślenia wydał się jej idiotyczny, pozbawiony jakichkolwiek logicznych podstaw. Mimo to siedziała, spoglądając na swoje rozedrgane dłonie i czując, że propozycja, którą złożyła Devowi, jest nadal aktualna, niezależnie od jego planów.

Zostanę tu. Tu jest mój dom. A jeśli Dev wyjedzie... trudno, jakoś to przeżyję.

Drzwi lekko skrzypnęły i stanął w ich Dev.

- Emmo...

Nie, to nie jest twoje miejsce. Obojętne, co was łączy. Pewnych faktów nie można zmienić. Jesteś w ciąży z jego bratem, a on może nie być w stanie pogodzić się z przeszłością. Nie możesz tego od niego oczekiwać.

- Trudno mi uwierzyć, że tego dokonałeś - szepnęła.

- Mnie również. - Zdejmował maskę, a ona z całego serca pragnęła objąć go, pomóc mu.

Nie wolno. Nie masz prawa. Jeśli on tego nie rozumie, nie chce, nie możesz wtrącać się w jego życie.

- To było piekielnie ryzykowne - powiedziała cicho. Podniósł na nią wzrok i zrobił gest, jakby chciał do niej podejść, lecz się cofnął. Najwyraźniej przypomniał sobie, kim ona jest, i postanowił zachować dystans.

- Pozostawienie części śledziona nie było dużym ryzykiem. Wykonywałem już takie operacje u dzieci z guzami. Sądzę, że nie straciła więcej krwi, niż gdybym usunął całą śledzionę.

- Miałeś odpowiedni sprzęt - zauważyła szeptem, nie kryjąc uznania. Zerknął na nią niepewnie, po czym zaczął się przebierać.

- Kiedy tu nastąpiłem, postawiłem dyrekcji warunek, że sala operacyjna ma być doskonale wyposażona. Raz w tygodniu mam do dyspozycji anestezjologa. Wykonujemy tu sporo operacji. Dzięki temu ludzie nie muszą jeździć do Brisbane, a ja nie tracę kontaktu z chirurgią.

- Więc będziesz mógł wrócić do Stanów, żeby podjąć pracę na tym etapie, na którym ją przerwałeś. Jesteś wyśmienitym chirurgiem.

- A ty niezłym anestezjologiem.

- Jeśli tu zostanę, a ty wyjedziesz, nie będę mogła operować. Nie jestem chirurgiem.

- To fakt. - Wahał się. - Ale dawniej wszyscy jeździli stąd do Brisbane.

- Ale dzisiaj... Katy by umarła, gdyby w Karington był tylko jeden lekarz.

- Człowiek robi tyle, ile może - mruknął niemal gniewnie. - Nie można się zadreć, jeśli coś się nie uda. Tego się tutaj nauczyłem. Nie mogę się rozdwoić i nie mogę z tego powodu wpędzać się w poczucie winy.

- Podeszedł do umywalki. - Na pewno chcesz tu osiąść?

- Tak.

- Dlaczego?

- Bo czuję się tu jak u siebie - szepnęła, do bólu zaciskając pięści. Musi go przekonać. - Dev, pierwszy raz czuję coś takiego...

- Przestań!

Zaskoczona gwałtownością jego reakcji, podniosła na niego wzrok.

- O co ci chodzi? - zapytała.

- Ty i ja...

- Nie o tym chciałam mówić. - Teraz i ona była zła.

- To się nie zmieniło. Wiem, że ci przeszkadza zakochana w tobie szwagierka. Zachowałam się jak szczeniara, wyznając ci miłość. Zrobiłam to tylko dlatego, że ciągle mam do czynienia ze śmiercią... Rodziców, w Etiopii, ze śmiercią Coreya. I to mnie nauczyło, że trzeba mówić, co się czuje. Bo jutro może być za późno.

- Nie chcę...

- Wiem, czego nie chcesz. Nie obawiaj się, nie będę się narzucać. Ale tu zostanę. Niekoniecznie w twoim domu, mimo że Lorna mnie o to poprosiła. Kupię dom w miasteczku. Niezależnie od tego, co postanowisz, jaru zostaje - oznajmiła z naciskiem. - Chcę tutaj wychowywać dziecko Coreya.

- Niezależnie od tego, co ja zrobię? Nie mam tu nic do powiedzenia?

- Nie masz wpływu na decyzje dotyczące mojego życia.

- Jestem tu lekarzem. Jeśli nie zechcę, żebyś...

- Dev, są trzy wyjścia. Nie zapominaj, że jestem niezależna, nikogo nie muszę o nic prosić i sama podejmuję decyzje. Po pierwsze, jeśli w dalszym ciągu będziesz tu pracował, nie będę wchodzić ci w drogę. Może nawet otworzę własny gabinet. Po drugie, możesz zaproponować mi pracę u swojego boku. Po trzecie, możesz przenieść się do Stanów.

Patrzył na nią osłupiały.

- Ale nadal nie mam nic do powiedzenia...

- Na temat mojej decyzji pozostania w Karington? Nie masz. - Podniosła się z trudem. - Na razie zostawmy ten temat. Muszę wracać do moich gości.

- Jakich gości?

- Co cię tak dziwi? Na bardzo pracowite spotkanie mieszkańców Karington, którzy postanowili coś zrobić dla ciebie, dla Coreya i dla Kyle'a. Odmówiłeś w nim udziału.

- Masz mnie za niewdzięcznika?

- Oczywiście. Oni porządkują twój ogród.

Przymknął oczy. Może i jemu należy się chwila wytchnienia? - pomyślała. W tej chwili jednak nie była zdolna do współczucia.

- Nic mnie nie łączy z tym ogrodem - oznajmił.

- Bo się od niego odciąłeś. Bo był częścią Coreya, częścią rodziny, którą twoim zdaniem, zawiodłeś. Dev, otrząśnij się!

- Musimy akurat teraz bawić się w psychoanalizę?

- Nie musimy. - Westchnęła. - Zajmij się swoimi sprawami. Ja za to muszę poszukać kaloszy i znaleźć kogoś, kto mnie podwiezie.

- Twoje kalosze stoją przy wejściu do szpitala. - Uśmiechnął się lekko. - Powiem ci też, że nie mam nic przeciwko tym skarpetom.

Zaskoczona spojrzała na swoje stopy. Zupełnie zapomniała o skarpetach! Kalosze Lorny okazały się dwa numery za duże, więc przeszła cały dom w poszukiwaniu grubych skarpet. W końcu znalazła komplet ubiorów do futbolu, a w nim skarpety w czerwono-żółte paski, z czarnymi palcami, które idealnie pasowały do kaloszy.

- To barwy tutejszego klubu futbolowego - zauważył. - Rozumiem, że czujesz się tu jak u siebie, ale czy trochę nie przesadziłaś?

- Zrobię wszystko, żeby czuć się jak u siebie - odrzekła z godnością.

Uśmiechnął się szeroko. Nareszcie.

- Domyślam się - mruknął.

- Dev...

- Emmo... - Odsunął się nieco, by ją przepuścić.

Mijając go z wysoko uniesioną głową, zerknęła na niego. I natychmiast tego pożałowała, ponieważ on już się nie uśmiechał. Spoglądał na nią z takim wyrazem twarzy...

Musiała się zatrzymać, bo gdy mężczyzna tak patrzy na kobietę...

- Dev...

- Nie mogę - powiedział przez ściśnięte gardło.

- Dev, jestem tylko kobietą - szepnęła. - W czym problem?

- Niczego mi nie ułatwiasz.

- Wiem.

Nie ruszyła się z miejsca, bo działo się teraz coś niezmiernie ważnego.

- Chcesz, żebym cię pocałował?

- Masz ochotę? Pocałować czerwony namiot w skarpetkach w paski? Dev, dlaczego akurat mnie?

- Właśnie, dlaczego?

- Więc mnie nie całuj. - Zrobiła krok w stronę drzwi, lecz on położył jej dłonie na ramionach.

- Emmo, nie mogę.

- Więc się nie zmuszaj.

- Nie mogę - powtórzył, ale nie mówił prawdy. Bo, rzecz jasna, mógł. Ujął ją pod brodę i uśmiechnął się, a w jego wzroku tliło się zdziwienie.

- Chyba... mimo wszystko muszę cię pocałować.

- Z powodu tych skarpetek? Zniewalające, prawda?

- Trudno im się oprzeć.

Potem nie było już czasu na nic innego: na uśmiechy ani na refleksje na temat jej mało pociągającego stroju. Świat przestał istnieć.

Wcale nie miał zamiaru jej całować. Zdecydowanie.

Po co? Nie ma z nią nic wspólnego. Powinien przyzwyczać się do traktowania jej jak wdowy po bracie.

Nie zakochiwać się w niej.

Wcale się w niej nie zakochałem, przekonywał się rozpaczliwie. Więc nie powinieneś jej całować. Ale przechodziła obok. Pachniała świeżo skoszoną trawą, różami, mydłem, środkiem odkażającym oraz...

Oraz Emmą.

Miała takie piękne piwne oczy. Błyszczące. Pełne pytań. I ufne. Twierdzi, że go kocha. Jak to możliwe?

Stary, ty przecież kochasz Margaret. Elegancką, opanowaną i piękną Margaret, a nie ten wulkan energii okryty czerwona płachtą. Lecz gdy przechodziła obok, ogarnęło go niezrozumiałe uczucie, zawładnęła nim siła, której nie potrafił się przeciwstawić.

Więc ją pocałował. Obejmując ją, zauważył, że ich ciała idealnie do siebie pasują. Odniósł wówczas wrażenie, że są kawałkami układanki - a tą układanką było kiedyś jego życie - które nagle odnalazły swoje miejsce, swój dom.

Niewiarygodnie słodkie doznanie.

Do tego bez trudu potrafił opisać kobietę swoich marzeń: wysoka, elegancka, piękna, ambitna, inteligentna i świadoma swojej wartości. A nie przysadzista, potargana, despotyczna i na dodatek ciężarna.

W pewnej chwili coś go kopnęło. Zmieszany spojrzał jej w oczy, a ona cicho się zaśmiała.

- Zdaje się, że mamy przyzwoitkę - parsknęła.

- Twoje dziecko...

- Powinno zawnoczu przyzwyczajając się do tego, że matka całuje się z facetem, którego kocha - zażartowała trochę niepewnym tonem.

Znieruchomiał. Nie wypuścił jej z ramion, lecz delikatnie od niej się odsunął.

- Kochasz mnie?

- Wiesz, że tak - odparła bez zająknięcia. - Przepraszam, wiem, że tego nie chcesz. Albo tak ci się wydaje. Nic na to nie poradzę. - Zawahała się. Chciała być pragmatyczna, ale jej się nie udało. - A ty?

- Nie mogę. - Pokręcił głową. - To szaleństwo. Miłość? Tak nagle? A nawet gdybym cię pokochał, to jak bym się czuł wobec Coreya?

- Jeszcze większe poczucie winy? Czy to logiczne? Corey byłby zadowolony.

- Nie ma w tym ani krzty logiki. - Dlaczego ona tak na niego patrzy? Sama jej obecność doprowadza go do obłędu. - Nic nie jest logiczne. Ale jeśli wyobrażasz sobie, że tu zostaniesz i przejmiesz jego życie...

- Uważasz, że o to proszę?

- Nie wiem, o co prosisz.

- O nic. Nikt o nic cię nie prosi. Wręcz przeciwnie, otrzymałeś szansę wyjechania z tego miasta. Powiedz mi, że moja miłość jest głupia, pożegnaj się z

matką i wyjeżdż. Z Margaret albo bez. To ci proponuję. Przedstawiłam ci również inne rozwiązania. Zechciej je dostrzec. Poznać. - Czuła, jak narasta w niej złość. - Uważasz, że łatwo mi przyszło wyznać ci miłość? Zdobądź się na odrobinę wrażliwości! - Była zbyt zmęczona, by dłużej się denerwować. Czuła się... przegrana? Wzdychając, otworzyła drzwi. - Wystarczy. Wracam do domu.

- Zawieziemy cię z Margaret. Mieliśmy zamiar na chwilę tam pojechać.

- To dobrze. Ale masz pretekst, żeby się stąd nie ruszać, bo ktoś musi zostać z Katy.

- Nie mów mi, jak mam pracować - warknął. - I tak już o wszystkim decydujesz.

- O niczym nie decyduję - zaprotestowała urażonym tonem. - Ja tylko proponuję.

- Odczep się ode mnie!

- Tak jest!

Cholerna baba. Nie baba, lecz kameleon. Kochany kameleon. Nie, nie kochany.

- Zajrzę do Katy a potem pojedziemy do domu. Zostanę tam co najwyżej kwadrans.

- Pretekstem do wyjazdu znowu będzie Katy.

- Emmo, przestań...

- Tak jest! - Ona znowu się z niego naśmiewa. Powinien... Pocałować ją jeszcze raz? Nie.

- Za dziesięć minut przed wejściem - oznajmił, a ona najbezczelniej w świecie zaskłutała i odmaszerowała, człapiąc w za dużych skarpetach.

Ty kretynko! Po co mu powiedziałaś?!

- Ma prawo wiedzieć.

- Dev będzie wujkiem twojego dziecka. Jak w takim układzie ułożą się wasze stosunki?



- Czy ja w ogóle mam szansę przyjaźnić się z nim?
- On ma mnie za idiotkę.
- Bo jesteś idiotką.

Dziecko wymierzyło jej solidnego kopniaka, więc warknęła pod jego adresem:

- A ty co sobie wyobrażasz?! Kto ci pozwolił kopać faceta, którego kocham?

Głupi bachorze, nie wiesz, jaka to poważna sprawa?

To nic poważnego. Błahostka.

Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w brzuch.

- To ja jestem głupia - mruknęła. - Kotku, liczymy się jedynie ty i ja. I oboje o tym wiemy od samego początku. A ja tylko na chwilę się rozmarzyłam.

## ***ROZDZIAŁ DZIESIĄTY***

Do domu Deva jechali w milczeniu. Od czasu do czasu Margaret z niepokojem zerknęła na niego, jakby Wczuwając, że dzieje się coś, z czego została wykluczona.

- Wiem od Lorny - zagadnęła w końcu Emmę, która naburmuszona siedziała z tyłu - że zamierzasz osiąść w Karington.

- Tak. Uznałam, że moje dziecko powinno mieć babcię, a ona gorąco mnie poparła.

- To cudownie. Również z naszego punktu widzenia. Dev nareszcie będzie mógł zdecydować, co chce robić. Jeśli postanowi tu zostać albo kiedy będziemy przyjeżdżali w odwiedziny...

- To nasze dzieci będą miały okazję się zaprzyjaźnić. Będą przecież spokrewnione. Ja zapewne poprzestanę na jednym, a ile wy planujecie?

Nie wiadomo, czy Dev chrząknął wymownie, czy się zakrztusił, ale obie z zatroskaniem spojrzały w jego stronę. Na szczęście podróż nie trwała długo.

Gdy zajęchali na miejsce, piknik na plaży już dobiegał końca, ale nikt nie miał ochoty wracać do domu. Na podjeździe nadal parkowało sporo aut.

Od ojca Kyle'a, który przez całą operację czuwał przy rodzicach Katy, wszyscy już wiedzieli, że dziewczynka będzie żyła, więc gdy się zjawili, powitano ich tak gorąco jak niejednego sławnego sportowca. Coś takiego nigdy nie przytrafia się lekarzom w wielkich miastach, pomyślała Emma.

- Musisz się do tego przyzwyczaić - usłyszała.

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo natychmiast otoczyło ją kilkanaście osób. Widać było, że mają jej do powiedzenia coś bardzo ważnego, coś, co nie mogło dłużej czekać.

- Pani doktor, mamy dla pani niespodziankę!

- Pomalowaliście mój pokój na fioletowo?! - Udała przerażoną, co wzbudziło ogólną radość.

- Nie. Mamy coś lepszego. Towarzysza do tego pokoju. - Salwy śmiechu.

Wianuszek się rozstąpił i jej oczom ukazał się... Paul.

Na ten dzień miała dosyć mocnych wrażeń, więc stała jak słup soli, spoglądając na mężczyznę, któremu kiedyś obiecała rękę. Paul.

Wysoki, przystojny, uśmiechnięty. Dobiegał czterdziestki, ale wyglądał najwyżej na dwadzieścia pięć lat. Znany ortopeda. Dobry przyjaciel.

Pocałował ją na powitanie. Sumienie ją gryzło, że niepotrzebnie wybrał się w taką długą podróż. Jej doznania w niczym nie przypominały tych, jakie towarzyszyły pocałunkowi Deva.

W końcu Paul odsunął się na odległość ramienia, by przyjrzeć się jej z promieniejącą twarzą. Nie zorientował się, że nic ich nie łączy? Może nawet nie zdawał sobie sprawy, co by to miało być? Może jeszcze nie spotkał kobiety swojego życia?

- Droga Emmo, jesteś jeszcze grubsza.

- Serdeczne dzięki - wyjąkała. - A co ty tu robisz?

Wahał się. Mieszkańcy Karington dyskretnie się oddalili, ale Dev i Margaret stali tuż obok.

- Uznałem, że nie mówiłaś tego poważnie. To idiotyczny sposób zrywania zaręczyn. Wszystko przez te twoje skrupuły. Kochanie, jeszcze bardziej się przeraziłem, kiedy powiedziałaś mi o wypadku. Więc zadzwoniłem do Devlina.

- Do Devlina?

- Do szpitala, i zażyczyłem sobie rozmawiać z szefem, który mi powiedział, że jesteś zagubiona, zmartwiona i niepewna przyszłości.

- Zagubiona i zmartwiona - powtórzyła. - Dev, tak powiedziałaś?

- Zapytałem, czy powinienem przyjechać, a on uznał to za wskazane. - Paul uśmiechnął się do Deva, po czym podał mu rękę na powitanie. - To ty jesteś tym Devlinem?

- To jest doktor O'Halloran - poprawiła go Emma, wymownie unosząc brwi. - Tak samo jak ja. Powiadasz, że on nie wie, jak będzie wyglądała moja przyszłość?

Paul z zaciekawieniem spoglądał na Margaret.

- Poznaj narzeczoną Devlina - pospieszyła Emma.

- Ona wie doskonale, jak będzie wyglądała jej przyszłość. Zagubiona i zmartwiona - powtórzyła.

- Bo byłaś zmartwiona - powiedział Dev bez cienia skruchy. - Uznałem, że Paul przemówi ci do rozumu.

- Tak jak tobie Margaret musi przemawiać do rozumu - odcięła się. - W kwestii ślubu.

- To nie jest konieczne - odezwała się Margaret.

- On jest bardzo rozsądny. Myślę, że mamy zamiar...

- Jesteś tak samo skołowana jak ja - powiedział Paul, wyczuwając w niej bratnią duszę. - Emmo, skarbie, czy to tak trudno powiedzieć: „Tak, zostanę twoją żoną”?

- Devlin jest taki sam - mówiła Margaret. - Znamy się już tak długo, że jest to jedyne sensowne rozwiązanie.

- Do nich to nie dociera. - Paul westchnął.

- Od dziecka marzy mi się ślub w białej sukni - szczebiotała Margaret. - Mam trzy siostry, które nie mogą się doczekać, kiedy będą druhnami.

- Ja też - przytaknął Paul. - Ale dopóki Em jest w tym stanie, biały ślub...

- Masz na myśli to, że jestem taka gruba? - wtrąciła Emma wojowniczym tonem. Ale oni jej nie słyszeli.

- No tak. W tej sytuacji biały ślub nie wchodzi w rachubę - przyznała Margaret. - Musicie czekać, aż dziecko się urodzi, ale wtedy nie wypada w bieli. Dev jest za ślubem w urzędzie.

- Wcale tego nie powiedziałem. - Dev wyraźnie się zjeżył.

- Jak to? W zeszłym roku, kiedy zapytałam cię, ile chcesz mieć druhenek?

- To były rozważania czysto hipotetyczne.

- Widzisz, Paul, z czym ja muszę się borykać? - pożaliła się Margaret.

- Mamy bardzo niezdecydowanych partnerów - odrzekł Paul.

- Zdecydowanych - odezwała się. Emma. - Nie będzie żadnego ślubu!

- Ona nie mówi tego w imieniu Deva - zastrzegła się Margaret. - Prawda, Dev?

- Nie, ja...

- Dlaczego nie chcesz wyjść za mnie? - zapytał Paul.

- Bo nienawidzę piłki nożnej. - Emma z premedytacją posłużyła się argumentem, który powinien przemówić do mężczyzny.

- Nienawidzisz piłki nożnej?! - Margaret patrzyła na nią jak na ciele z dwoma głowami. - To niemożliwe! Teraz, kiedy Australia jest o krok od awansu do mistrzostw świata?!

- Nie przesadzajmy - ostudził jej zapał Paul, za co spiorunowała go wzrokiem.

- Jak to?! Pracujemy bardzo ciężko. A ilu zawodników z Australii gra w Europie?! Powinni grać dla Australii!

- Macie wielu genialnych piłkarzy - przyznał Paul. - Na przykład Harry Kewell...

- On jest kapitalny - westchnęła Margaret. - Kiedy pokonaliśmy Anglię...

- Widziałem to na własne oczy.

- Byłeś na tym meczu?!

Emma poczuła, że lada moment zacznie krzyczeć.

- Idź obejrzeć swój fioletowy pokój - doradził jej Dev. - A przez ten czas nasi partnerzy dogadają się w sprawach światowej piłki nożnej.

- Paul nie jest...

Nie dokończyła tego zdania, ponieważ niespodziewanie rozległ się potworny łoskot, a powietrze przeszył rozpaczliwy krzyk. Pierwszy otrząsnął się Dev.

- Zakręt!

- Ktoś spadł do morza! - zawołał jakiś mężczyzna z werandy, skąd widać było kawałek szosy. - Cholera! Ciężarówka.

Dev już biegł do samochodu.

- Jadę z tobą! - zawołała za nim Emma.

- Wykluczone. Zostań. Margaret już siadała obok niego.

- Zaczekajcie, ja też jestem lekarzem - mówił Paul, wsuwając się na tylne siedzenie.

- Zostańmy tutaj. - Lorna przystanąła obok Emmy. - Będziemy im tylko zawadzały.

To samo powtarzały kobiety swoim dzieciom. Lecz wyimaginowana tragedia jest gorsza od rzeczywistej.

- Nie mają lin - szepnęła pani Sims, której jak wszystkim pozostałym zapewne stanął przed oczami przerażający obraz szkolnego autobusu zawieszzonego nad przepaścią.

- Liny są w komórce - oznajmiła trzeźwo Lorna. Decyzja zapadła. Wszystko jest lepsze od niewiedzy.

- Robbie, biegnij po linę - poleciła synowi pani Sims. - Możesz ją nieść, ale nie odchodź od nas. I nie wybiegaj do przodu.

Kobiety i dzieci podążyły w stronę szosy. Ale nie Emma, której Dev zakazał ruszać się z miejsca, ani Lorna, lojalna teściowa.

- Podejdźmy do końca podjazdu. Tylko... wyjrzymy na szosę - zaproponowała Lorna. - Masz komórkę. Możesz przekazywać informacje.

Genialny pomysł!

Dzięki Bogu wypadek był mniej katastrofalny w skutkach niż tamto tragiczne zderzenie. Ciężarówka wypadła z szosy i uderzyła w skałę po stronie przeciwnej do urwiska. Wiozła drewniane skrzynki, które wysypały się na szosę. Kilka z nich się roztrzaskało. Emma ze zdumienia przecierała oczy.

- To są kaczątka - wyszeptała Lorna.

- Wszędzie biegają małe kaczuszki! - wysapała

Jemima, która do nich podbiegła. - Tata kazał mi przynieść karton.

Pozbieramy je do tego kartonu. Doktor mówił, że kartony są pod schodami. - W wyciągniętej ręczce trzymała kaczątko.

- O Boże. Ktoś jest ranny? - zatroskała się Lorna.

- Jedną panią boli ręka, ale prawie nie ma krwi - relacjonowała dziewczynka. - I nikt nie umarł.

- Ile jest tych kaczątek? - zapytała Emma.

- Miliony.

- No tak, tego można było się spodziewać - oświadczyła Lorna, nieco ochłonawszy. - To Ruby Hyde.

- Znasz ją?

- Ruby prowadzi coś w rodzaju schroniska dla zwierząt. Ma wielkie jezioro oraz pozwolenie na sprzedaż kaczych jaj. Ale jest najbardziej roztrzepaną biznes-

menką pod słońcem. Nie tylko nie wie, gdzie te kaczki składają jaja, ale nawet nie potrafi zmusić ich do wysiadywania. Każdego roku musi kupować nowe kacząta. Oby nic jej się nie stało.

Podeszły bliżej.

- Patrz pod nogi - ostrzegła Emmę Lorna. Jednak żadnemu kaczątku nie groziło rozdeptanie, ponieważ zajęło się nimi dwadzieścioro dzieci.

- Jakie śliczne - rozkliwiała się Chrissy.

- Ono coś mi zrobiło na palec - pożalił się Robbie.

- O, jeszcze jedno! Kiedy ta Jemima wróci z tymi kartonami? Już brak mi rąk!

- Pomogę ci. - Lorna posuwała się na czworakach za kaczątkiem, które rażno podążało na brzeg urwiska.

- Nie, mój drogi, tam nie idź. W morzu są rekiny, które pożerają małe kacuszki.

Będzie z niej cudowna babcia, pomyślała Emma.

Stojąc w niewielkiej odległości od ekipy medycznej, zorientowała się, że Ruby oddycha samodzielnie.

- A ty co tu robisz? Zdaje się, że kazałem ci zostać. - Dev był wyraźnie niezadowolony.

- Pomyślałam, że możecie potrzebować pediatry. I nie pomyliłam się, bo te maluchy nie powinny włączyć się same. Jak twoja pacjentka?

- Pęknięty obojczyk. Zabieramy ją do sali operacyjnej, tym bardziej że Paul zaofiarował nam swoją pomoc.

Jasne. Trudno o lepszego chirurga ortopedę.

- Jak to dobrze, że mieliście go pod ręką - powiedziała słabo, na co Margaret podniosła wzrok i promiennie się uśmiechnęła. Do Paula.

- O tak. Mamy wielkie szczęście.

- A mnie go zabrakło - odezwała się Ruby.

Tym razem to Emma się uśmiechnęła. Aby podnieść pacjentkę na duchu.

- Na to wygląda - powiedziała. - Ale zapewniam, że mój kolega Paul jest cenionym chirurgiem i że będzie pani w dobrych rękach.

- A ja będę mu pomagać - dodała Margaret, lekko się czerwieniąc, ponieważ zdała sobie sprawę, że jej uwaga była całkiem niepotrzebna.

Panie święty, pomyślała Emma. Spojrzała na Margaret, a potem na Paula. Oboje spiekli raka. Chryste Panie! I jak tu nie wierzyć w miłość od pierwszego wejrzenia?!

- Chyba nie będę wam potrzebna - orzekła, starając się nie uśmiechnąć.

- Nie, nie będziesz - odrzekł Dev. - Możesz spokojnie wracać do domu i odpocząć.

- Mhm.

- Naprawdę, Emmo. Poradzimy sobie bez ciebie.

Fantastycznie, pomyślała ze złością. Dobrze jest nie być potrzebnym, kiedy nie ma się na to ochoty, ale ja chcę być potrzebna!

Miała pełne prawo odpocząć: kacząta powędrowały do wszystkich domów w Karington, ogród był uporządkowany, a dom wysprzątanym, wymalowanym i wyczyszczonym jak nigdy przedtem. Lorna wyraziła chęć dotrzymania jej towarzystwa, ale wzięła na przechowanie dwa kaczątka i wyraźnie się spieszyła, by jak najprędzej okryć je elektryczną poduszką. Pokrzętała się jeszcze chwilę, po czym pojechała do siebie.

Emma została sama w pustym domu. Czym się zająć? Była wściekła, że nie jest w sali operacyjnej.

- To nie jest w porządku - przemówiła do swojego brzucha. - Gdyby nie ty, już bym stała przy stole operacyjnym.

- Nie chcieli cię tam. Nawet gdybyś nie była w ciąży, też by cię nie chcieli. Nikt cię nie chce.

- To nic nowego.



- Kurczę, weź się w garść. Podobno już się przyzwyczaiłaś do tego, że jesteś sama.

I na tym polegał cały problem, ponieważ wiedziała, jakie to jest przykre. Będzie zmuszona przyzwyczaić się jeszcze bardziej.

- Nie! Nie będę sama. Będę miała tych ludzi.

- Nie tylko na nich ci zależy.

- To prawda, ale Dev wyjedzie do Stanów. On cię nie potrzebuje. Tak jak w tej chwili.

Co robić? Naburmuszona ruszyła w stronę plaży.

Na niewiele to się zdało. Nad horyzontem wisiał srebrzysty księżyc.

- Nie bądź taki romantyczny - mruknęła pod jego adresem. - Po co mi wysrebrzona twoim blaskiem plaża, skoro nie ma tu...

- Kogo?

Bolały ją nogi zmęczone długim staniem przy stole operacyjnym, na którym walczyła o życie Katy.

- Przejdź się.

- Po plaży skąpanej w blasku księżyca?

Wróć na szosę, pomyślała. Podobno w miejscu wypadku, na jej skraju, ma być ustawiona oświetlona barierka. Ciekawe, czy już to zrobiono.

Szła powoli wściekła, że inni robią coś ciekawego, z czego ją wykluczyli tylko dlatego, że jest w ciąży.

Dotarła do miejsca, gdzie przewrócił się samochód z kaczetami. Ile ich było? Może należy o to zapytać Ruby? I sprawdzić kaczą listę obecności?

Wyrzucając sobie takie głupie pomysły, oparła się o prowizoryczną barierkę, by popatrzeć w dół. Na wodzie, pośród głazów u stóp urwiska, kołysała się skrzynka. Taka sama jak skrzynki z kaczetami. Nie wygląda na rozbitą, pomyślała Emma. To znaczy, że... wewnątrz nadal są kacuszki. Przydałby się ratownik. Ale skąd go wziąć?

Fala cisnęła skrzynkę między dwa potężne kamienie. Skrzynka uwięzła.

- Pewnie już pozdychały. Następna fala przykryła skrzynkę.

- To tylko kaczki.

- Ale ja jestem tylko człowiekiem i nie mogę na to beczynn timer patrzeć!

Trudno byłoby jej wynieść skrzynkę na górę, ale mogłaby podciągnąć ją wyżej, nad linię przyływu, a potem wezwać pomoc. Do niezwywych kaczek?

- One żyją.

Bardzo ostrożnie przeszła ponad barierką.

- Kiedyś byłam mistrzynią łażenia po drzewach.

- Ale to jest urwisko, a ty jesteś w siódmym miesiącu ciąży.

- No to co?

- Prawdę mówiąc, w ósmym.

- Niech się dziecko uczy wspinać. Idziemy.

Gdy znalazła się pięć metrów niżej, głaz, na który stąpnęła, osunął się i spadł do wody.

Poszukała innego oparcia i zeszła jeszcze niżej, aż mogła dosięgnąć skrzynki. Wciągnęła ją na kamień.

Szczebioczą. To znaczy, że żyją!

- Wy łatacie popekany obojczyk, a ja będę ratować kaczki! - mruknęła.

Przyszło jej do głowy, że gdyby otworzyła skrzynkę, kaczęta mogłyby samodzielnie wdrapać się na górę. Ale czy one wiedzą, że na górze będą bezpieczne?

Przypomniało jej się, co Lorna im tłumaczyła.

- W morzu są rekiny, które pożerają małe kaczuśki - powtórzyła słowa teściowej.

Z wielkim trudem wciągnęła skrzynkę na skalną półkę poza zasięgiem przyływu.

- Mam u was codziennie omlet do końca waszych dni - wysapała.

Teraz można wracać na górę. Ale jak? Kamienia, na którym mogłaby oprzeć stopę, już nie ma, bo wpadł w morską otchłań.

- Masz inny pomysł?

- Nie.

Cholera. Jest zmuszona czekać, aż ktoś ją stąd wyciągnie. Może o świcie dostrzeże ją z morza jakiś rybak? O świcie?!

- Nie wpadajmy w histerię. Nie jesteś sama.

- Kiedy oni sobie o mnie przypomną? - zwróciła się do skrzynki, która odpowiedziała jej głośnym szczebiotem.

Jutro będzie poniedziałek, ale żadne z dzieci nie przyjedzie do domu Deva, ponieważ wszystkie mają za zadanie „wysiadywać” uratowane kaczęta.

- To znaczy, że jutro nikt nie zajrzy do domu.

- Paul na pewno tam się zjawi.

- Chyba żartujesz?! Nie widziałaś, jak patrzył na Margaret?

- Przyleciał aż z Anglii. Do ciebie.

- Więc chyba...

- Wątpię.

Ponura sytuacja. Emma pociągnęła nosem.

- Zaraz się rozryczę. Zimno wam, chłopaki? - zwróciła się do piskląt. - Jesteście głodni? Zmęczeni? To tak jak ja. - Wytarła nos w rękaw. - Spróbuję zasnąć, licząc kaczki.

- Nie, wcale nie zasnę. Będę siedziała pogrążona w ponurych rozmyślaniach na temat mężczyzn oraz kaczek, które spadły z ciężarówki. Obiecuję, że postaram się nie myśleć o pieczonej kaczce.

## **ROZDZIAŁ JEDENASTY**

Po zabiegu Margaret zaproponowała Paulowi, że odwiezie go do hotelu w Karington. Paul się wahał. Zadzwoił do Emmy, ale nikt nie podniósł słuchawki. Pewnie jest razem z dziećmi i naradza się, co dalej zrobić z kaczetami.

Margaret ponowiła propozycję. Tym razem Paul dał się namówić. Druhny i piłka nożna, pomyślał ponuro Dev. Genialne połączenie.

- Założę się, że na jego pogrzebie będzie szlochała - mruknął pod nosem, krzywiąc się z niesmakiem.

To wszystko przez Emmę, powtarzał sobie, podczas gdy auto niemal bez jego udziału skierowało się w stronę jej domu. To jest twój dom! - oprzytomniał.

Po co tam jechać? Emma dała mu szansę uwolnienia się od Karington. Przedstawiła Paula Margaret, w rezultacie czego zniknęła opcja rozsądnego ożenku.

Prawdę mówiąc, jeszcze na tę opcję się nie zdecydował. Co więcej, to on sam zaprosił Paula do Australii.

Osobiście sobie tego piwa nawarzył.

Emma na pewno też zauważyła to iskrzenie między nimi i prawdopodobnie czuje się teraz tak samo jak ja. Zdradzona.

Zajechał pod dom, po czym wszedł do środka.

- Emmo!

Cisza. Może poszła na plażę? Skądże znowu. Powinna już być w łóżku. Bardzo by chciał, żeby była w łóżku. Powiedzmy, że bardzo by chciał wiedzieć, gdzie ona jest.

Zszedł na plażę i rozejrzał się po zatoczce. Nie ma żywego ducha. Przyłożył dłoń do ust:

- Hop, hop!

Brak odzewu. Wyjął komórkę, by zadzwonić do matki.

- Nie, synku, nie ma jej tutaj. Żebyś wiedział, jakie te kaczuszki są słodkie.

Nalałam wody do wanny...

- Nie wiesz, gdzie może być?

- Sprawdź w łazience. Jeśli przygarnęła jakieś kaczątko... Och, jak one ślicznie pływają!

Dalsza rozmowa z matką nie miała większego sensu.

Gdzie jest Emma? Może poszła na miejsce wypadku po resztę piskląt? Może wyjechała z Karington? Może coś jej się stało i leży ranna w buszu? Może zaczęła rodzić?! Dostała krwotoku, spadła z urwiska...?!

Czuł, że odchodzi od zmysłów.

Wracając z plaży niemal biegiem na szosę, po drodze wpadł do domu, by zajrzeć do łazienki. Udusi ją, jeśli w wannie bawi się z kaczkami!

Nie ma jej.

Wpadł z domu i puścił się pędem w stronę szosy.

Zatrzymał się przy barierce na zakręcie, gdzie rano przewróciła się ciężarówka, by pozbierać myśli. Niemożliwe, żeby Emma wyjechała. Nie zostawiłaby otwartego domu i włączonego światła. Trzeba zawiadomić policję, zorganizować ludzi, ekipę poszukiwawczą!

Zdesperowany ryknął na cały głos:

- Emmaaa!

O mało nie wpadła do wody.

Spokojnie liczyła w myślach pisklęta, by nie myśleć o kamieniu, który spadł, odcinając jej odwrót, gdy nagle ponad szumem morza rozległo się donośne wołanie.

Dev. Stoi tuż nad nią, na szosie.

- Nie krzycz tak - rzuciła półgłosem w mrok. - Obudzisz moje maleństwa.

Chyba śni. Krzyknął w otchłań, która mu odpowiedziała. „Obudzisz moje maleństwa”!

Bardzo pragmatyczne podejście. Emma. Nie widział jej, nic nie widział. Jeśli wychyli się bardziej, spadnie.

Czy Emma tam spadła?

- Mam tu kaczki - powiedział głos z otchłani.

- Dotrzymujesz im towarzystwa? - rzucił beztroskim tonem, mimo że się w nim gotowało.

- Skrzynka z pisklętami uwięzła poniżej linii przyływu. Potopiłyby się.

- Kaczki pływają.

- Nie w skrzynce.

- Postanowiłaś je uratować? - Aż kipiał ze złości.

- Nie miałam wyboru - odrzekła z godnością.

- Mogłaś mnie wezwać.

- Naprawiałeś pęknięty obojczyk. Razem z Margaret.

- Oraz Paulem.

Idiotyczna wymiana zdań. Gdzie ona jest?

- Odniosłam wrażenie, że przypadli sobie do serca - mówiła. - Mój chłopak i twoja dziewczyna. Ładne, nie?

- Emmo, gdzie jesteś?

- Chyba widzisz.

- Nic nie widzę!

- To weź latarkę. Ale bardziej przydatna byłaby lina. Wyciągnąłbyś tę skrzynkę.

- Zeszłaś tam?

- Tak. Bez trudu.

Raz jeszcze spojrzął w czarną czeluść. Bez trudu? Wolne żarty.

- Po czym uznałaś, że bez latarki nie będziesz się wspinać z powrotem? Bo za ciemno?

- Prawdę mówiąc, jeden bardzo dobrze usytuowany głąz oberwał się i spadł do wody. Nie mam jak się stąd wydostać.

Nie podejrzewał, że jest zdolny odczuwać tak przemożny strach o drugą osobę.

- Emmo, czy zdajesz sobie...?

- Dev, już mnie znalazłeś. - Z tonu jej głosu wywnioskował, że się uśmiechnęła. - I jesteś tu bez Margaret.

- Mogę potrzebować jej pomocy, żeby cię jakoś stąd wyciągnąć.

- Margaret nie nadaje się do takich akcji - orzekła autorytatywnie.

- Możliwe, ale z nią będzie Paul.

- Nie chcemy go oglądać.

Dev poczuł, że powoli się uspokaja.

- Okej. Nie życzymy sobie oglądać Paula. Ale musimy cię jakoś wydostać.

- Zgadzam się. Przydałby się ponton.

- Gdzie jesteś?

- Idź po latarkę i sobie poświeć, to zobaczysz.

- Siedzisz bezpiecznie? Wyżej niż przyływ?

- Tak. Moje maleństwa też są bezpieczne.

- Nic sobie nie złamałaś?

- Nie, ale martwię się o te pisklaki. Nic nie widzę.

- Emmo...

- Pospiesz się, dobra? Och, Dev, jeszcze jedno.

- Słucham?

- Skoro idziesz do domu po latarkę, to może... znalazłyby się tam dla mnie jakieś herbatniki? Lodówka jest pełna jedzenia. Moim kacuszkom herbatnik też by dobrze zrobił.

Ścierpła w niewygodnej pozycji. Bolały ją nogi, plecy. Pupa. Praktycznie wszystko. Wytrzyma. Dev zaraz wróci.

Jak na skrzydłach gnał do domu. Wiedział po co.

Dawno, dawno temu z tego miejsca, gdzie teraz siedzi Emma, Dev i Corey łowili ryby, zwyczajne morskie ryby, aż któregoś razu złapali niewielkiego rekina. Tutejszy przysmak. Nawet ich zapracowany ojciec się zapalił.

Ryba była ogromna, więc ojciec zrobił specjalną uprząż, potem ułożyli ją na płachcie i liną wciągnęli na górę.

Ojciec akurat wpadł do domu na lunch, ale został dłużej. Gdy rekin ostatecznie wylądował na górze, stała tam już połowa rozentuzjasmowanych pacjentów ojca.

Uporząż i liny przydały im się w przeszłości nieraz. Do holowania kajaka, który postradał wiosło, do wyciągania bali drewna z wody albo po prostu do wspinaczki na urwisku.

Corey był wtedy zdrowy. I cała rodzina była w komplecie. To wszystko przeszło mu przez głowę, gdy spieszył do domu. Liny, kołowrotki i uporząż powinny być w komórce, ale matka wyrzuciła tyle rzeczy... Jeśli ich tam nie ma?

Były. W komplecie. Do tego dwie latarki. Aha, i jeszcze herbatniki. Wpadł po nie do kuchni i upchnął po kieszeniach. Pokruszą się, pomyślał, lecz coś mu szepnęło, że Emma nie będzie kaprysić.

- On zaraz tu będzie - pocieszała kaczątko. - Tylko nie dostańcie zapalenia płuc.

Kwak.

- I nie wolno wam umierać.

- Emmaaaa!

- Jestem tu, nie denerwuj się. Masz herbatniki?

Nie przebierając w słowach, dał jej do zrozumienia, gdzie ma jej ciasteczka. Tak ją to podniosło na duchu, że na chwilę zapomniała o ścierpniętych nogach.

- A nie mówiłam wam? - przemawiała do piskląt. - Oto nadchodzi mój Dev, na którym można polegać. I niesie dla nas herbatniki.



Snop światła omiótł urwisko, nie docierając do niej.

- Gdzie ty, do cholery, jesteś?!
- Pytaj dalej. Pod półką.
- To do ciebie podobne - mruknął.

Ciepło w jego głosie aż jej zaparło dech w piersiach. Postanowiła jednak, że zachowa się pragmatycznie.

- Wiem. Nie pomyślałam o innych. Należy mi się bura.
- Powiedziałbym, że coś więcej niż bura.
- Co, na przykład? - zapytała z nadzieją w głosie.
- Jeszcze nie wiem - odparł gderliwie. - Siedź tam. I czekaj.
- Tak jest, proszę pana.

Uduszę ją. Co za kretyńka z tej ciężarnej lekarki. Powinno się ją cofnąć na studia! Lekarz ma obowiązek unikać ryzyka, a ona zeszła tam bez asekuracji!

Nic tylko ją uduszę!

Bardzo ostrożnie spuszczał się po linie, przywiązawszy ją do grubego drzewa. Pod sobą miał czarną czeluść. Wiedział jedynie, że niżej jest Emma.

- Obok mnie jest trochę miejsca - odezwała się tuż pod nim. - Jak się rozpląszczę.

- To się rozpląszcz.

Poczuł, że chwyciła go za kostkę, by pokierować jego stopą. Zaraz ją uduszę!

Chwilę później stanął obok niej. Za moment będzie zmuszony ją udusić.

Dotknął palcami jej szyi, a ona przylgnęła do niego całym ciałem. Długo potem, kiedy złapali oddech, przypomniał sobie swoją obietnicę.

- Zasłużyłaś na to, żebym cię udusił.
- Ty też - szepnęła. - Nie było cię strasznie długo.
- Co takiego?
- Umarlibyśmy z głodu. I jeszcze możemy umrzeć. Masz te herbatniki?
- Mam. W kieszeniach. Pewnie je rozgniotłaś.

- I tak je zjem.
- Na pewno nic ci nie jest?
- Na pewno.
- Nic cię nie boli?
- Wszystko mnie boli, ale nie rodzę. Moje dziecko będzie alpinistą.
- Corey kochał wspinaczkę.
- No widzisz. - Sięgnęła do jego kieszeni po herbatnika... po spory okruch

herbatnika.

A on przysiadł, by patrzeć, jak ona je. Siedział i patrzył. I nagle jego świat wrócił na normalne tory.

Jego ukochany brat zmarł, ale wcześniej znalazł tę kobietę. I dał jej dziecko. W pewnym sensie również wprowadził ją do rodziny. Emma stała się jej częścią. I pokochała jego, Deva.

Corey ratował Emmę, ona usiłowała ratować Coreya i tej ostatniej nocy, gdy ofiarowała mu swoje ciało, poczęła jego dziecko. Corey podarował im wszystkim dziecko.

Teraz dzięki duchowi Coreya i tej jego szalonej kobiecie Dev się odnalazł. Zniknął smutek i poczucie winy wywołane stratą brata. Będzie kochał go do śmierci, ale teraz... ma jego cząstkę. Corey będzie żył nadal.

- Dlaczego tak na mnie patrzysz? - spytała nagle Emma.
- Kocham cię.
- Przyznam ci się, że miałam nadzieję, że tak się stanie. - Pocałowała go czule w policzek. - Ale dlaczego tak się gapisz?
- Masz wiórki kokosowe na nosie.
- O rany! - Wysunęła język i zlizwała wiórki.
- Niesłychane! Zrób to jeszcze raz. - Przysunął bliżej latarkę. - Nie ma końca twoich zalet?

- Nie ma - odparła beczelnie. - Żałuj, że nie słyszałeś, jak śpiewam w łazience.

- Corey chyba bezgranicznie cię kochał.

- Corey kochał cię. Dostaliśmy podwójnego błogosławieństwa.

- Czy damy temu dziecku imię Corey?

- Nie. - Zamyśliła się. - To zbyt ckliwe. Jemu by się to nie spodobało. Którąś z tych kaczuszek nazwiemy Coreym.

- Daj im herbatnika. Zajmij je czymś, bo chcę pocałować ich mamę.

- Im chce się pić.

- Mają cały ocen.

- Wiesz, o czym mówię - obruszyła się.

- Niech pani nie marudzi, pani doktor O'Halloran, i da się pocałować.

- Jeśli będziesz tak się rządził...

- Będę się rządził. Jest pani w szoku, pani doktor. Trzeba panią ukoić. Lekarz to pani zalecił.

- Jak tak, to bezwzględnie mu się podporządkuję.

Trzy miesiące później odbyło się wielkie przyjęcie - z okazji otwarcia ogrodu ku czci Kyle'a i Coreya, chrzcin Caroline Lorny Louisy O'Halloran oraz ślubu doktora O'Hallorana z doktor O'Halloran. Zaproszono wszystkich mieszkańców miasteczka Karington.

W orszaku ślubnym oprócz pary młodej szło dwadzieścioro i jedno dziecko: dziesięć dziewczynek w różowych sukienkach i jedenastu chłopców w smokingach.

Pierwszą druhną była Katy, teraz w soczewkach kontaktowych, prowadząca cały orszak i odpowiedzialna za wiązanek panny młodej. Za nią szły Jodie i Suzy z koszyczkami pełnymi płatków róż.

Ktoś wpadł na pomysł, że to nie wystarczy. I nagle w ogrodzie pojawiło się trzydzieści kaczątek z różowymi wstążeczkami. Pod koniec dnia miały zostać odwiezione na farmę Ruby.

Drużbą została Margaret, zaś pierwszą drużną Paul.

- Drodzy przyjaciele - rzekł Dev z uśmiechem - podzielcie się tymi rolami. - A oni go posłuchali i takiego dokonali wyboru.

Nikomu to nie przeszkadzało, bo był to niezwykle ślub. Pannę młodą wydawała za mąż jej teściowa.

- Nikomu nie dam się wyręczyć - oznajmiła stanowczo Lorna. - Chyba pękne ze szczęścia.

Ogród pysznił się wszystkimi kolorami. W poprzedzających ślub tygodniach pracowali w nim absolutnie wszyscy. W zatoczce stały dwie śliczne ławeczki. Zrobił je kierowca szkolnego autobusu.

- Po zderzeniu zachowałem się jak kretyn - powiedział. - Pozwólcie mi się tym zająć. - Ta praca w pewnym stopniu ukoła jego sumienie.

Podobnie jak innych.

- Już nie chcesz wyjeżdżać do Ameryki? - pewnego razu Emma zapytała Deva, a on przytulił ją jeszcze mocniej i oświadczył, że nigdy nie miał takiego zamiaru.

Teraz, pod krzewem różanym czekał na swoją wybrankę. Całe miasteczko wstrzymało oddech.

Na werandzie stała doktor Straw i trzymała na rękach czterotygodniową Caroline Lornę Louise. Po chwili za nimi ukazała się Emma w kremowej sukni z gorsetem sznurowanym różową wstążeczką i wianku z różowych róż, który tego ranka uwiła dla niej matka Kyle'a. Lorna podała jej dłoń. Gdy dotarły do Deva, w skupieniu podał Emmie ramię i... dopiero wtedy uwierzył, że to wszystko dzieje się na jawie.

- Serce moje - szepnął. - Miłości mojego życia...

- Na pewno chcesz się ożenić? - zapytała Emma.

Dopiero wtedy się uśmiechnął.

- Czemu nie?

Pan Bóg istnieje. Na ziemi panuje ład. Duchy tego domostwa nareszcie  
zaznały spokoju. Na wieki wieków.



RS